**Ostrzeżenie!** Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 43 (1883) ● 23–29 października 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237




Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 869a80e13e

# UWAGA! ZA TYDZIEŃ PODWÓJNE „NIE” NA DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI!

**W Polsce jest już tyle głupoty, że nie mieści się w pojedynczym numerze!**

## WOJNA DOMOWA

Sejm uchwalił ustawę o dekryminalizacji pomocy przy aborcji i drugą, przywracającą tzw. kompromis aborcyjny. Chodzi o to, żeby kobiety znowu nie musiały rodzić dzieci bez główek, co, obiektywnie rzecz biorąc, nie jest kompromisem jakoś daleko idącym – choć dla Karola Nawrockiego najpewniej za daleko. Inaczej mówiąc, cieszmy się z tej nowelizacji, póki trwa, bo jej żywot będzie jeszcze krótszy niż tej z 1996 r., którą własnoręcznie obalił Andrzej Zoll w 1997. Ale skoro już się tak zgadało o Trybunale Konstytucyjnym: jeśli władza jest zdeterminowana w przywracaniu go narodowi i demokracji, to może ów przywrócony mógłby posprzątać burdel po poprzednikach i wywieść legalizację aborcji na żądanie kobiety z konstytucji? Są tam wszak zapisy o prywatności, nienaruszalności cielesnej, prawie do decydowania o swoim życiu osobistym. Brać, wybierać.

Sejm nie przegłosował za to – niespodzianka – wotum nieufności dla głównego księgowego Donalda Tuska, oficjalnie znanego jako minister finansów i gospodarki. Tusk tak się ucieszył, że na szybciora, przed wylotem do Indii i Wietnamu, złożył wniosek o powołanie Domańskiego na wicepremiera. Po czym przemówił do mediów: „Nie pytajcie mnie, jak się zachowa prezydent Nawrocki, chciałbym odpowiedzieć z czystym sumieniem i z taką pewnością, że nie sądzę, żeby jawnie chciał łamać konstytucję, gdyby się zdecydował na złamanie konstytucji w tej kwestii, no to muszę powiedzieć, że ten scenariusz byłby bardzo ryzykowny, niepotrzebnie ryzykowny”… Tak to ludzie trwonią lata, że nie są jak brat dla brata… Gdyby nie wojna dwóch pałaców, premier mógłby zadzwonić do prezydenta i powiedzieć jak człowiek do człowieka: „Karol, ja wysyłam, ale ty nie podpisuj”. A tak musi jakieś podpuchy urządzać.

Władimir Putin zaproponował Donaldowi Trumpowi trójstronny szczyt z udziałem Xi Jinpinga, żeby zakończyć wojnę na Ukrainie. Koalicja rządząca natychmiast okrzyknęła szczyt „drugą Jałtą”, choć wyłamał się Włodzimierz Czarzasty, który wystąpił w obronie Jałty: „Ja protestuję, żeby to nazwać »drugą Jałtą«, bo w Jałcie nie było Hitlera”. W zasadzie przyjdzie nam się zgodzić z marszałkiem Czarzastym: Jałta jest w naszym kraju zupełnie niezrozumiana – w końcu to głównie jej zawdzięczamy Ziemie Odzyskane. Miło, że wierny swym korzeniom przywódca lewicy potrafi upomnieć się o historyczne zasługi Józefa Wissarionowicza dla kształtu dzisiejszej Rzeczypospolitej. Ale tak dla porządku: zestawianie Hitlera z Putinem to jakby zestawiać marszałka von Hindenburga z marszałkiem Czarzastym. Niby wszystko da się porównać, ale czasem nie warto.

Zanim polska klasa polityczna zdążyła się dość naoburzać na podłe potraktowanie Ukrainy w amerykańsko-rosyjskich planach, Lwowska Rada Obwodowa ustanowiła 2027 r. rokiem Romana Szuchewycza i UPA. Zostało to uznane za pewną niezręczność i elity rządzące pospieszyły zagłuszać pierdnięcie w salonie. Wicepremier Sikorski pochwalił się: „Podpisałem wniosek o wpisanie na listę osób niepożądanych w RP radnego obwodu lwowskiego S. Szeremeta, rekonstruktora dywizji SS-Galizien, autora pomysłu ustanowienia 2027 roku rokiem R. Szuchewycza”. Tak dla porządku: Lwowska Rada Obwodowa liczy 84 członków, 54 zagłosowało za uchwałą (reszta nie wzięła udziału w głosowaniu), więc jeden Szeremet wiosny nie czyni. Za to wicesikorski o nazwisku Bosacki ogłosił dość żałośnie, że „mamy obietnicę ze strony najbliższych współpracowników prezydenta Zełenskiego, że ta decyzja nie wejdzie w życie”, a „dobrym znakiem jest to, że wczoraj późnym wieczorem ze strony internetowej obwodu lwowskiego ta uchwała zniknęła”. Tto, czy uchwała wejdzie w życie, ma jeszcze mniejsze znaczenie niż to, czy Szeremet może przyjechać do Polski. Jeśli coś ma tu znaczenie – to ta demonstracyjna dezynwoltura, którą wszystkie poziomy ukraińskiej władzy nam okazują. Ale to wszak nic nowego.

Żeby nie było nam wszystkim smutno, z czeluści swojej własnej paranoi wychynął Antoni Macierewicz, któremu wyraźnie brakowało niezapomnianej atmosfery miesięcznic smoleńskich, bo wystąpił w charakterze grupy rekonstrukcyjnej roku 2010. „I nie ma ważniejszej sprawy jak odrzucenie tego zdrajcy, tego bandyty, tego przestępcy, który nazywa się Tusk, tego człowieka, który po dzień dzisiejszy nie tylko niszczy Polskę, nie tylko zdradza Polskę, ale wspiera ciągle Putina w sprawie zbrodni smoleńskiej! On przecież po dzień dzisiejszy oskarża polskich pilotów, a morderstwa dokonał właśnie ten Tusk! Nie, Putin! Putin to zrobił”… Antoni, brakowało nam ciebie.

**AWŁ**

## Z URNY BLAGIERA URBANA

# BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



*Listopad 2014 r.*

### Świętego Geoffreja

Tak więc ekssenator Aleksander G. znowu poszedł siedzieć. W początku lat 90. lecieliśmy razem samolotem Tel Awiw–Warszawa. Obaj od Bagsika i Gąsiorowskiego. Daniszewska i ja chcieliśmy od tych biznesmenów dokumentów obciążających spółkę Telegraf, a więc obu Kaczyńskich. G. prowadził zaś wtedy interesy z uciekinierami z Art-B. Senator zaprosił mnie w samolocie na fotel obok siebie i przekonywał, że powinien zostać premierem. I oto życie potoczyło się biedakowi daleko od początkowych aspiracji. Jest premierem celi.

### Świętego Teodora

W sejmie wniesiony jest projekt ustawy o odebraniu orderów osobom, które w PRL dostały je za działalność polityczną. Popieram, gdyż jest mi potrzebna opróżniona szuflada. Moje ordery już odsyłałem prezydentowi Kaczyńskiemu, protestując przeciwko nadaniu jednego z tych, które mam, jakiemuś zbójowi z Narodowych Sił Zbrojnych. Szef kancelarii prezydenta Szczygieł odesłał mi je wraz z długim listem wyjaśniającym, że w świetle prawa nie może przyjąć orderów. Dobrze, że prawo się zmieni.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Pudel Azor jest komunistą. Np. nigdy nie zje suszonej kaczki, zanim nie poczęstuje się tym przysmakiem jego przyjaciółka suczka Fela. Komuch Azor odmawia oddania swojej Komandorii Orderu Polonia Restituta, dowodząc, że w czasach PRL nie było go na świecie. Za brak solidarności ze swoim panem Azor dostanie otóż w mordę.

### Świętego Leona

W TVN24 odbyła się dyskusja między prof. Krzemińskim a policjantem, czy należy donosić do policji, czy nie. Sprawa pozostała nierozstrzygnięta. W latach PRL, gdy byłem w rządzie, tajne dokumenty przywoziła mi codziennie w wózku z tajnej kancelarii chuda dziewczyna. Szara myszka. Pewnego wieczoru spotkałem ją w windzie któregoś z hoteli. Jaskrawo umalowana i ubrana jechała z arabskimi amatorami jej wdzięków. Uznałem, że panienka zrozumiała lub zrozumie, że na kopiowaniu tajnych dokumentów lepiej zarobi niż na dupinie. Czy więc zawiadomić oficera kontrwywiadu chroniącego gmach rządu? Zwyciężył we mnie snobizm. Uznałem, że nie wypada ministrowi donosić, że gończyni daje dupy.

### Świętego Leona

W obu „Gazetach Polskich” przez liczne tygodnie drukowane były całostronicowe ogłoszenia reklamujące książkę naczelnego redaktora Tomasza Sakiewicza. „Gazety” wydaje spółka. Pieniądze za książkę bierze Sakiewicz. Donoszę, że należy sprawdzić, czy płacił za ogłoszenia. Jeżeli nie, może to być przestępstwo działania na niekorzyść spółki dla własnego zysku. Redakcja mieści się przy ul. Filtrowej w Warszawie. Która to prokuratura?

### Dzień Weterana

Obejrzałem w TV film „Iceman”, prawdziwą historię polskiego katolika-familianta, zawodowego killera, który zabił w USA około 100 osób. Nazywał się Kukliński. Skąd ja znam to nazwisko?

### Świętego Christiana

Gównojadom Adamowi Hofmanowi i jego kolegom życzę wszystkiego najgorszego, jednak dla ich żon naprutych w samolocie mam zrozumienie. Przez długie lata Daniszewska musiała się upić, żeby wsiąść do samolotu, a lecąc, nietrzeźwość pogłębiała. Różnica polegała na tym, że nie latała za państwowe pieniądze, a ze stewardesami się kochała tak, że one ją poiły, aż osiągała stan bukłaku z alkoholem obleczonego w ciuchy.

Pamiętam koniec lata 1989 r. Rząd, w którym zasiadałem, został już zdymisjonowany, premierem był Mazowiecki, a ja jeszcze pełniłem funkcję przewodniczącego Komitetu Radia i Telewizji. Wracaliśmy z miesięcznego urlopu we Włoszech, dzieląc samolot z pielgrzymką zakonnic. Kompletnie pijana Daniszewska zabawiała sobą siostrzyczki. Zgodnie z idiotycznym ceremoniałem na płycie lotniska witali nas moi podwładni, w tym dyrektor w randze ambasadora. Po usunięciu mnie z urzędu przekazano mi donos napisany przez tego ambasadora w sprawie nietrzeźwości Daniszewskiej. Był to wzruszający odruch rutyny w kapowaniu. Mazowiecki dał mi dymisję nie dlatego przecież, że żona leciała urżnięta. Nie było to też powodem upadku PRL. Pozdrowienia dla pani Hofmanowej.

### Świętego Krystiana

„Gazeta Polska” zapewnia, że Adolf Hitler był ćwierćkrwi Żydem i zapewne krewnym Icka Chitlera, syna Abla i Tauby urodzonego w 1857 r., antykwariusza z Kielc. Krewny tego Icka 80 lat wcześniej wyjechał był bowiem do Wiednia. Teza, że król wrednych antysemitów musiał być choć trochę Żydem – skądżeby inaczej tyle w nim podłości – nowa nie jest. Artykuł pt. „Hitler przez »ch« (z 5 listopada) to publikacja z serii cotygodniowych odkryć historycznych ludzi Sakiewicza. Hitler to na pewno resortowe dziecko, wujek Michnika.

### Świętego Brice

Media i ich publiczność strasznie oburzyło to, że konkurenci partyjni wymyślają sobie nawzajem. Uznano to za największą wadę ustrojową Polski. Mniejsza o to, co mówią, aby gadali grzecznie. No i mamy przedwyborczą grzeczność. Ściszonym teraz głosem mówi się o incydentach albo o niczym. Harcownicy chodzą zakneblowani. Polityka pozbawiona została cyrkowych emocji. Kaczyński szepcze, że wciśnie Rosji do gardła polskie jabłka, a za te pieniądze przywróci wczesne emerytury i będzie dopłacać do stoczni i kopalń, które przywróci do życia. Jeżeli grzeczność i układność uzyskają sukces wyborczy, po roku 2015 Polakom grozi całkowite odpolitycznienie. Zawodowi politycy grać sobie będą w szachy, nie mając publiczności. W erze postpolitycznej niezbędnymi staną się telewizjom liczni pijani kierowcy rozjeżdżający dzieci. Chluśniem krwią, bo uśniem.

### Świętego Sidoine

Czytam książkę „Darwin, Bóg i sens życia”. Autor Steve Stewart-Wiliams w sposób okrutny, ale bardzo elegancki znęca się nad Bogiem. Ten umyka w różne abstrakcje, ale Anglik go dogania i nie zostawia z Absolutu ani okruszka. Po tej lekturze nawet Terlikowski zostanie ateistą i odszczeka wszystkie modlitwy. ❑

## LISTONOSZ DONIÓSŁ

### Urban na patrona

Byłem dzisiaj na pasowaniu mojego syna w szkole, której patronem jest Zbigniew Herbert, a mottem – aby wybierać zawsze to, co trudniejsze. Żywię głęboką nadzieję, iż słowa te będą krępować dziatwę, o ile w ogóle, co najwyżej osiem lat, choć istnieje realne niebezpieczeństwo, że co bardziej gorliwi będą się tak męczyć przez całą wieczność i nawet w Raju będą usilnie utrudniali życie sobie i innym. A nie byłoby tego całego ambarasu, gdyby patronem był Jerzy Urban.

**GRL**

### „Tak” dla „NIE”

Z nostalgią wspominam czasy, gdy „NIE” można było kupić na poczcie. W marcu 2023 r., po okładce z Janem Pawłem II, Poczta Polska kazała zdjąć numer z ekspozycji, a – jak donosiły media – wkrótce zakończyła dystrybucję tygodnika. Oczywiście zapewne z przyczyn wyłącznie estetycznych, bez cienia polityki.

Rząd się zmienił, ale pocztowe „nie” dla „NIE” przetrwało. W marcu 2024 roku „Press” pisał o planach powrotu tygodnika na pocztę. Czy te plany utknęły między awizem a zwrotem do nadawcy?

A serio: poczta nadal dociera do małych miejscowości, więc jej placówki mogłyby pomóc w sprzedaży tygodnika (mieszkam w środmiesciu Warszawy, a wcześniej też najczęściej kupowałem na poczcie). Życzę, by wreszcie udało się odzyskać ten kanał – i żeby tym razem poczta powiedziała „tak”.

**Przemysław Kucharski**

PS E-mail powstał z pomocą (słabej) AI. Odwieczna sympatia do „NIE” jest jednak całkowicie ludzka.




Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

PROMOCJA

ALFABET URBANA 2.0

Blisko 200 postaci

To nie jest odnaleziony tekst Jerzego Urbana.
To współczesna kontynuacja formuły „Alfabetu Urbana”, przygotowana przez Gadzinowskiego, Ćwiklińskiego i Jarugę z udziałem AI.

Portrety, złośliwości, polityczne przekłucia i ironiczne diagnozy świata, który zmienił dekoracje, ale nie porzucił swoich śmieszności.

CHCESZ MIEĆ SWÓJ EGZEMPLARZ?
ZAREZERWUJ GO JUŻ TERAZ




Pierwszy próbny nakład – tylko 1000 egzemplarzy

Rezerwacja nie wymaga żadnej wpłaty

Gdy książka będzie gotowa do sprzedaży, poinformujemy Cię, jak ją kupić i zapłacić.

ZADZWOŃ: 668 935 668
lub napisz: alfabet@tygodniknie.pl
tygodniknie.pl/alfabet
zeskanuj kod



eprasa.pl 869a80e13e

# Tusk mówi językiem faszystów

## Gdzie się podziali „obrońcy demokracji”?



Rys. OBYWATEL JANEK

Donald Tusk opublikował skandaliczny film, który rozpoczyna się obrazami płonących samochodów i demolowanych sklepów. Premier oznajmia: „Wszyscy z niepokojem obserwujemy wydarzenia we Francji i w innych krajach”… Następnie dowiadujemy się, że za ten chaos odpowiadają osoby migranckie. A kto je sprowadzał do Polski? Oczywiście Prawo i Sprawiedliwość.

Tak oto film, który miał być kolejnym ciosem wymierzonym w politycznych przeciwników, staje się pokazem rasistowskiej propagandy. To stek kłamstw, bzdur i manipulacji, których nie powstydziliby się ani Bosak, ani Braun. Wstrząsające jest to, że jego autorem jest premier demokratycznej koalicji. Donald Tusk, podobno demokrata, mówi dziś językiem nowych faszystów* i posługuje się ich logiką nienawiści. Czy stał się jednym z nich?

Ta retoryka to mowa nienawiści, która nieuchronnie prowadzi do wzrostu dyskryminacji i przemocy. Przedstawianie migrantów jako zagrożenia legitymizuje przemoc wobec osób rasizowanych, migranckich i uchodźczych, także z Ukrainy. Przekaz jest prosty: obcy zagrażają naszemu bezpieczeństwu, a zatem należy się przed nimi bronić.

**Z**acznijmy od tego, co naprawdę wydarzyło się we Francji. Protesty rozpoczęli uczennice i uczniowie, którzy mieli dość dramatycznego niedofinansowania edukacji powodującego między innymi brak nauczycieli i zły stan techniczny szkół. Z czasem protest przerodził się w bunt przeciw neoliberalnej polityce Macrona i wynikającym z niej rosnącym kosztom życia. Francja nie jest wyjątkiem. Podobne bunty wybuchły w wielu krajach Europy, także w wielu krajach Ameryki Łacińskiej czy Azji. Wszystkie te wystąpienia łączy sprzeciw wobec świata, w którym coraz trudniej zaspokoić podstawowe potrzeby, usługi publiczne podupadają z powodu niedofinansowania, a bogactwo i przywileje koncentrują się w rękach nielicznych.

W opowieści Tuska nie ma miejsca na szkoły bez nauczycieli, niedostępne mieszkania czy drożyznę. Są za to migranci, którym Tusk przypisuje odpowiedzialność za te wystąpienia.

Nie ma żadnych dowodów na to, że rzeczywiście za zamieszki towarzyszące buntom – stanowiące margines tych wydarzeń – odpowiadają osoby migranckie. Premier posługuje się natomiast dobrze znanym rasistowskim schematem: osoba niebiała zostaje uznana za migranta, migrant za potencjalnego przestępcę, a przestępca za zagrożenie dla całego społeczeństwa. Bez znaczenia, że człowiek uznany za „obcego” urodził się we Francji i ma francuskie obywatelstwo. Kolor skóry wystarcza, żeby odebrać mu przynależność do wspólnoty.

Tak działa faszystowska polityka nienawiści. Najpierw wytwarza się fantazmat wroga, któremu przypisuje się odpowiedzialność za rzeczywiste lub wyobrażone zagrożenia. Następnie przekonuje się społeczeństwo, że odzyskanie bezpieczeństwa, dobrobytu i narodowej wielkości wymaga zwalczenia tego wroga. Wreszcie przedstawia się przemoc i wykluczenie jako konieczne środki obrony wspólnoty. Wróg nie musi istnieć w postaci opisywanej przez propagandę. Wystarczy, że ludzie uwierzą w jego istnienie.

Wytwarzanie wroga, obarczanie go winą za stan kraju i obiecywanie wyzwolenia po jego usunięciu ma w Polsce i poza nią długą historię. Roman Dmowski w 1933 r. chwalił Hitlera za „oczyszczanie” Niemiec z Żydów, ponieważ uważał „obcy element” za zagrożenie również dla niepodległej Polski. To przerażająca ciągłość pewnego sposobu myślenia: najpierw wyodrębnia się ludzi, którzy rzekomo nie należą do wspólnoty, następnie przedstawia ich obecność jako niebezpieczeństwo, a w końcu uzasadnia konieczność ich usunięcia.

**Ale** w wystąpieniu Tuska chodzi o coś jeszcze. Premier reprezentuje neoliberalny porządek, przeciwko któremu buntują się ludzie w Europie i na świecie. U nas również rosną koszty utrzymania, dach nad głową staje się dla wielu ludzi dobrem luksusowym, a dostęp do publicznej ochrony zdrowia wymaga coraz większej cierpliwości albo coraz zasobniejszego portfela.

**Gdyby Polacy rozpoznali we francuskich protestach własne doświadczenia, mogliby zacząć zadawać niewygodne pytania o politykę gospodarczą swojego rządu. Dlaczego praca nie zapewnia bezpieczeństwa? Dlaczego mieszkania są tak drogie?**

Dlaczego usługi publiczne nie odpowiadają społecznym potrzebom? Znacznie wygodniej pokazać im płonące samochody i oznajmić, że wszystkiemu winni są migranci. W ten sposób gniew, który mógłby zostać skierowany przeciwko nierównościom społecznym i polityce gospodarczej, zostaje przekierowany na zastępczego wroga. To klasyczna operacja ideologiczna: społeczne cierpienie pozostaje rzeczywiste, ale jego przyczyny zostają ukryte za rasistowskim fantazmatem.

**N**ajbardziej zdumiewa mnie milczenie tych, którzy przez osiem lat rządów PiS-u bronili demokracji, wolnych sądów i praw człowieka. Wielu z nich protestowało przeciwko przemocy na granicy polsko-białoruskiej. Czy naprawdę wystarczy zmiana nazwiska premiera, żeby rasistowska propaganda przestała budzić oburzenie? Czy prawa człowieka obowiązują tylko wtedy, kiedy łamie je polityczny przeciwnik? A przecież demokracja nie sprowadza się do organizowania wyborów i parlamentarnego liczenia głosów. Jest ustrojem, w którym każdemu człowiekowi przysługuje taka sama godność, a jego podstawowe prawa podlegają ochronie niezależnie od obywatelstwa, pochodzenia czy koloru skóry. Rząd, który podważa te zasady, nie staje się demokratyczny tylko dlatego, że sam siebie tak nazywa.

Jeżeli demokraci zaczynają mówić językiem faszystów, faszyści nie muszą nawet wygrywać wyborów. Wystarczy, że wygra ich sposób myślenia.

**JACEK KOCHANOWSKI**

* Pojęcie „nowego faszyzmu” jest kategorią analityczną wypracowaną przeze mnie w książce „Brunatna fala. Socjologia nowego faszyzmu w Polsce”. Posługuję się nim w znaczeniu naukowym, odnosząc je do skrajnie prawicowych i określanych jako „populistyczne” ruchów politycznych, które przejmują władzę lub aspirują do jej zdobycia w Polsce, Europie i wielu innych krajach świata, a także do charakterystycznych dla nich mechanizmów ideologicznych, praktyk politycznych i sposobów wytwarzania społecznej nienawiści.

# Za mundurem pajace sznurem

## Zabawna zamiana miejsc w polskiej polityce

Kiedy obserwuję zabawnie pouczającą – a może raczej pouczająco zabawną – zamianę miejsc w polskiej polityce, która zaszła w ostatnich dniach, nieodmiennie przypomina mi się pewien dowcip. Facet z siekierą goni za gościem po ulicy i wreszcie go dopadł w ciemnym zaułku. Podchodzi do zestrachanej ofiary i z uśmiechem wręcza jej siekierę, mówiąc: „A teraz ty mnie gonisz”.

Politycy PiS Kaczyńskiego i PiS bis Morawieckiego, wspierani dzielnie przez TV Republikę i telewizję wPolsce24, ci sami politycy, którzy za czasów Strajku Kobiet i filmu Agnieszki Holland „Zielona granica”, dzielnie szermowali hasłem „Murem za polskim mundurem” – dziś obrywają od obecnie rządzących ciężkimi zarzutami o brak patriotyzmu i łamanie prawa. Platformersi, jeszcze parę lat temu krytykujący działania policji i wojska, teraz na wyścigi „bronią” ich honoru i rzekomej wspaniałości.

Oczywiście kiedy znowu dojdzie do władzy PiS, zapewne z oboma Konfederacjami, znów on będzie murem za polskim mundurem, a pałowani zwolennicy Tuska i Czarzastego będą płakać nad swoją niedolą i brutalnością mundurowych.

Nie wiem jak inni, ale ja wyciągam popcorn i colę, aby przyglądać się temu cyrkowi na kółkach bez większych emocji. I jak w starciu kiboli Legii z kibolami Lecha: kibicuję obu stronom!

### Chamstwo przechodnie

Intrygujące są działania polityka Koalicji Obywatelskiej Marcina Kierwińskiego. W listopadzie 2020 r. jako poseł złożył on zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez konkretnych funkcjonariuszy, ale także przez osoby, które ich nadzorowały, gdyż – jak podkreślał – policja nieadekwatnie użyła przemocy przeciwko pokojowo demonstrującym kobietom. Domagał się przesłuchań funkcjonariuszy, których wysłano na manifestację, ich przełożonych, a także poseł Barbary Nowackiej, którą jeden z policjantów potraktował gazem. Żądał rozliczenia policjanta, który dokonał napaści „na funkcjonariusza podczas wykonywania interwencji poselskiej”.

Obecnie Kierwiński jest szefem MSWiA i – jako rządzący – stoi murem za polskim mundurem. Strasznie oburzyły go manifestacje pod Trybunałem Konstytucyjnym, a zwłaszcza ich relacjonowanie przez stację Sakiewicza, gdzie pojawiał się np. napis „To nie policja, to patologia”, a jeden z protestujących nazwał funkcjonariuszy wytresowanymi psami.

Teraz policja podlega Kierwińskiemu, toteż – w odróżnieniu od czasów pisowskich – jest z natury dobra. Minister zatem napisał w serwisie X: „TV Republika wulgarnie obraża polskich policjantów. Nie zostawimy tego prymitywnego chamstwa bez odpowiedzi. Każdy, kto atakuje polski mundur, będzie ponosił tego konsekwencje. Policjanci to ludzie honoru. A to pojęcie jest biegunowo odległe od ekipy Sakiewicza”.

Zabawne, że słowa „chamstwo” często używali rządzący ówcześnie przeciwko protestom kobiet. I tak warszawski radny, wtedy szef gabinetu politycznego Jarosława Gowina, Jan Strzeżek, stwierdził w grudniu 2020 r.: „Po raz pierwszy po 1989 r. uzyskano przyzwolenie na chamstwo, na szczycenie się tym, że jest się chamem. Chamskie odzywki wobec policjantów i dziennikarzy to najzwyczajniej w świecie chamstwo”.

Dziś to posłowie prawicy dziarsko walczą z policją i podkreślają jej równie brutalne, co nieuzasadnione działanie. Poseł PiS Jan Dziedziczak stwierdził w „Debacie u Gozdyry”, opowiadając o rzekomym demolowaniu przez policję lokalu działaczy opozycji: „Mamy do czynienia z sytuacją, kiedy policja jest używana do politycznej rywalizacji”, dodając, iż „to są sceny gorszące, pokazują nieuzasadnioną agresję policji, pokazują tak, jakby policjanci byli politycznie zadaniowani. Na szczęście nie wszyscy”.

Kiedy sekretarz wojny USA Pete Hegseth lekceważył zaangażowanie NATO w okupację – a nie, przepraszam, oczywiście: „stabilizację” – Afganistanu, szef MSZ Radek Sikorski bohatersko w mediach społecznościowych mu odpisał: „Proszę to powiedzieć, panie sekretarzu, rodzinom 44 polskich żołnierzy, którzy zginęli, zabezpieczając trudną prowincję Ghazni”.

Usłużne media liberalne nawoływały, aby przepytywać pisowców na tę okoliczność, w końcu trzeba stanąć murem za polskim mundurem. Mało kto się zająknął, że na tle liczby ofiar wśród amerykańskich żołnierzy – ok. 2500 – owa liczba 44 nie jest jakoś szczególnie imponująca, skoro już wdajemy się w martyrologię…

### Oczywiste oczywistości

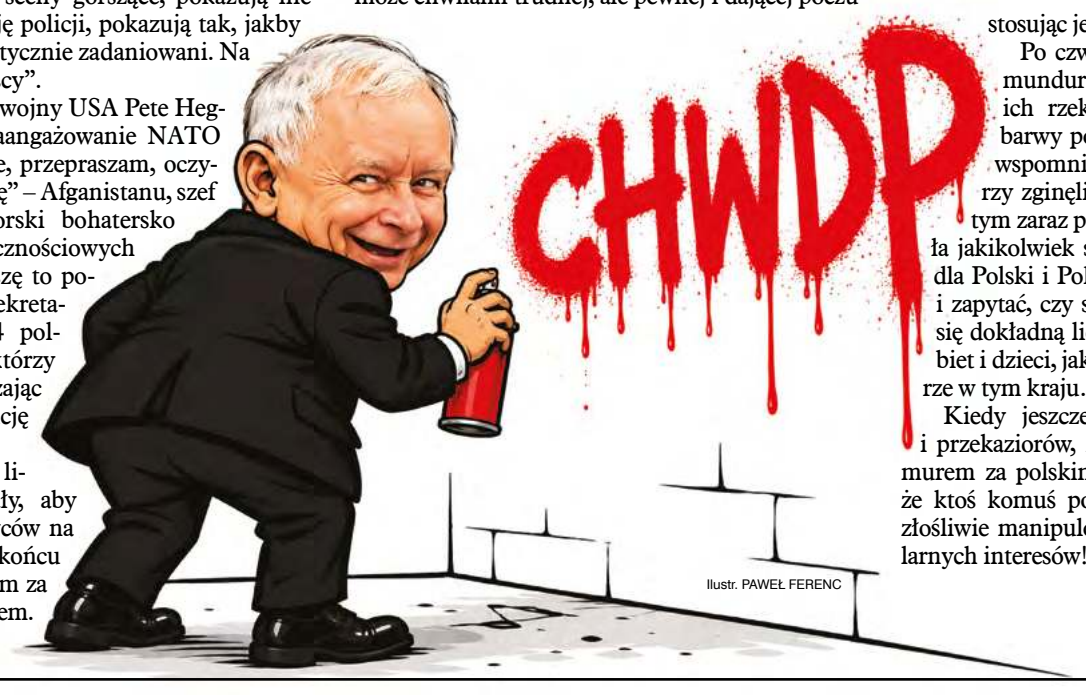
W tym wszystkim to i sam diabeł by się nie połapał. Najdziwniejsze, że w pędzie ku stosowaniu tępej propagandy i zarzucaniu przeciwnikowi, że obraża polski mundur (znaczy: głupiec albo zdrajca), umykają najbardziej oczywiste wnioski. Wnioski dość jasne, lecz zaciemniane przez wzajemne podbijanie bębenka nacjonalistycznego, którego ucieleśnieniem są ludzie w mundurach: wojskowi i policjanci.

Po pierwsze, założenie munduru nikomu nie daje papierów na szlachetność i moralność, że o umiłowaniu ojczyzny nie wspomnę. Ludzie płci obojga przywdziewają go dzięki perspektywie szybkiej emerytury i innych benefitów, szykując się do pracy może chwilami trudnej, ale pewnej i dającej poczucie życiowej stabilizacji. Gadanie o patriotyzmie, obronie ojczyzny czy bezpieczeństwa obywateli jest zwykle – jak mawiają Rosjanie – pokazuchą.

Po drugie, w służbach mundurowych panuje ścisła hierarchia i łańcuch dowodzenia. Żołnierze i policjanci robią to, co im każą. Znacznej części jest obojętne, co czynią, nawet jeśli ktoś będzie przekonywał, że to łamanie prawa (jak w przypadku brutalnego traktowania uchodźców na granicy z Białorusią). Rozkaz przełożonych należy wykonać i nie ma tu miejsca na żadne wątpliwości i dywagacje. Czy pałuje się elgiebety czy dziewczynki na Strajku Kobiet, czy kiboli, czy też – jak teraz – prawicowców protestujących przeciwko zmianom w TK, często nie ma większego znaczenia.

Po trzecie, niebezpieczna – acz często spotykana, także w demokracjach liberalnych – jest sytuacja, w której używa się służb mundurowych do tłumienia protestów opozycji.

**Skoro w tym kraju nie ma nawet zgody między najwyższymi organami państwa co do tego, kto jest sędzią TK, to trudno, aby to rozstrzygali na ulicach funkcjonariusze. Nie mają oni ku temu żadnych kompetencji, operują narzędziami w postaci tarcz, pałek czy kajdanek,**



Ilustr. PAWEŁ FERENC

stosując je, gdy uznają to za słuszne.

Po czwarte, najwięcej szkody służbom mundurowym czynią w gruncie rzeczy ich rzekomi obrońcy, bez względu na barwy polityczne. Skoro Radek Sikorski wspomniał o 44 polskich żołnierzach, którzy zginęli w Afganistanie, to powinno za tym zaraz pójść pytanie: czy ich śmierć miała jakikolwiek sens, cokolwiek dobrego zrobiła dla Polski i Polaków? Już nie chcę być wredna i zapytać, czy szef MSZ mógłby też pochwalić się dokładną liczbą osób cywilnych, w tym kobiet i dzieci, jakie zabili przez lata polscy żołnierze w tym kraju…

Kiedy jeszcze raz usłyszycie od polityków i przekaziorów, że ktoś jest kanalią, bo nie stoi murem za polskim mundurem, miejcie pewność, że ktoś komuś podkłada świnię i próbuje wami złośliwie manipulować w imię własnych partykularnych interesów!

**KAT**



eprasa.pl 869a80e13e

# Nie zatopi go kokaina

## Obstawiam, że przyszłość Kołodziejczaka nie jest przesądzona


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Na początek wyznanie: byłem współpracownikiem Michała Kołodziejczaka. Krótko. Przez pewien czas chciał budować AgroUnię Pracowniczą – związek zawodowy.

Pojechałem na Śląsk do związkowców z Amazona. Znakomitych ludzi zresztą. Moja wiara w projekt prysła, gdy Kołodziejczak zaczął na nich ryczeć. Siedzieliśmy z tyłu autobusu, choć były miejsca z przodu. Michał zaproponował, żebyśmy się przesiedli. Skorzystałem tylko ja. Wtedy nastąpił teatralny wybuch: mnie wychwalał pod niebiosa, związkowców opierdalał i powątpiewał w ich zdolności umysłowe. Wszystkich zamurowało. W końcu oni też się przesiedli, a Kołodziejczak uspokoił się po pięciu minutach. Do wieczora słuchałem kpin z niego i z całego występu. Serc egalitarnych działaczy jakoś nie zdobył.

Nie opowiadam tej historii jako dowodu na cokolwiek. Kokainą nie częstował.

### Puszka, kosa, koks

Sprawa, która wybuchła w październiku, jest poważniejsza niż autobusowa pajacerka. Dwie byłe współpracownice zarzucają Kołodziejczakowi agresję, poniżanie, groźby i przemoc fizyczną. Jedna twierdzi, że ją uderzył; druga opowiada o puszce rzuconej w jej stronę i groźbie z nożem. Jedna z kobiet mówi też, że namawiał ją do zażycia substancji przedstawianej jako kokaina.

Kanał Zero opublikował fragmenty nagranych rozmów. Kobieta zarzuca w nich Kołodziejczakowi wielokrotne namawianie jej na narkotyki i podanie substancji podczas kontaktu seksualnego. Mówi, że mogła umrzeć, wspomina leczenie i diagnozę PTSD. W innym fragmencie przypomina mu, że miał mówić o nagraniach ich kontaktów seksualnych. On pyta, czego od niego chce, i proponuje 10, 20 albo 30 tys. zł. Urywki są mocne, ale nie pokazują całych rozmów ani tego, co wydarzyło się przed nimi i po nich.

Kołodziejczak nazwał zarzuty pomówieniami. Klub KO zawiesił go w prawach członka na trzy miesiące. Prokuratura w Warszawie prowadzi czynności sprawdzające dotyczące podejrzenia zmuszania do określonego zachowania i udzielania środków odurzających. Łódzka prokuratura bada osobno zawiadomienie, które poseł złożył po wizycie w ABW.

### Urok wdzięków

Już jest serial. Najpierw reportaż, potem kolejne nagrania, wizyta w ABW, konferencja Rutkowskiego, zapowiedź badania włosów. Każdy dzień przynosi nowy odcinek i nowy temat do komentowania. Nie trzeba przypisywać nikomu spisku, żeby zobaczyć, że Kołodziejczak znalazł się w pułapce. Jeśli odpowie, każde zdanie może zostać zestawione z następnym nagraniem. Jeśli milczy, inni układają opowieść za niego.

W efekcie ograniczył się do krótkiego komunikatu, że sprawą powinny zająć się odpowiednie instytucje. Gdy zapowiadano jego konferencję w sejmie, nie przyszedł. W jego imieniu wystąpił Krzysztof Rutkowski. Z punktu widzenia polityka milczenie może być rozsądne: nie musi co dzień odpowiadać na kolejne nagłówki i publikowane fragmenty. Ale gdy przemawia za niego Rutkowski, cisza nie oznacza wycofania się z widowiska. Przeciwnie, dostaje ono nowego bohatera.

Rutkowski twierdził, że Kołodziejczak zgłosił mu sprawę już 4 września i mówił o szantażu. Przedstawił kobiety jako wolontariuszki, które miały oczekiwać stanowisk i korzyści. Dziennikarka Kanału Zero odpowiedziała, że co najmniej w przypadku jednej z nich ta opowieść się nie zgadza: miała poznać Kołodziejczaka dopiero w listopadzie 2025 r.; zaprosił ją do współpracy przy tworzeniu filmików do mediów społecznościowych. Na konferencji Rutkowski stwierdził też, że poseł „uległ urokom damskich wdzięków". Kołodziejczaka nie było, więc uwaga skupiła się na detektywie, jego słowach i memach, które szybko obiegły sieć.

Obserwatorzy oceniają, że Rutkowski może Kołodziejczakowi zaszkodzić. Ale nawet nieudany występ może mieć użyteczny skutek: rozmowa odsuwa się od zarzutów, a skupia na tym, czy Rutkowski jest śmieszny – a przecież jest.

### Bohater manosfery

Kołodziejczak potrafi budować wizerunek. Z buntownika rolniczych blokad przeobraził się kilka miesięcy temu się w bohatera filmików o życiu na wsi: czereśnie, kapusta, pies, uśmiech. To forma polityki skrojona pod rolkę dla ludności niepiśmiennej i niezwykle się podoba.

W manosferze – luźnej sieci internetowych twórców i społeczności połączonych antyfeminizmem – frustrację mężczyzn często opowiada się jako historię o utracie pozycji i krzywdzie zadawanej im przez kobiety.

**Zarzuty przemocy łatwo przedstawić jako zemstę, fałszywe oskarżenie albo feministyczny lincz. Kołodziejczak może zostać bohaterem takiej historii: politykiem, którego zawiesił własny klub, osądziły media, a zaatakowały kobiety.**

Wystarczy, że rozmowa o tym, co wydarzyło się między nim a byłymi współpracownicami, ustąpi opowieści o skrzywdzonym mężczyźnie. Rutkowski, choć dziś jest przede wszystkim memem, może pomóc tę opowieść rozkręcić.

Polityka coraz bardziej przypomina patogalę, więc taka zmiana ról nikogo już nie zdziwi. Sądzę, że Kołodziejczak jeszcze dostanie się do sejmu. Z jakiej listy – nie wiem. Ale założę się, że jakaś się znajdzie.

**DAMIAN DUSZCZENKO**

# MÓŻDŻEK TYGODNIA


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Maciej Berek, człowiek o znacznie poważniejszej pozycji społecznej i zawodowej niż nazwisko, które nosił, stał, jak co rano, nagi przed lustrem i odpowiadał na pytania swojego odbicia.

Kto ty właściwie jesteś, bracie?

Minister Maciej Berek. Doktor Maciej Berek. Sędzia Maciej Berek. Radca prawny Maciej Be… No!

Jaki jesteś?

Prawodawczy? Prawotwórczy? Prawoznawczy? Trudno tak to ująć… Prawomocny? Podobnie. Prawomyślny? Jak najbardziej. Tak samo jak prawy, praworządny i prawowity. Praworęczny! Raczej nie prawobrzeżny ani nie prawoskrzydłowy. Chyba nie prawowierny. W żadnym razie nie prawosławny.

Prawa ręka premiera Tuska?

To już przeszłość.

Pozostańmy przy sędzi Trybunału Konstytucyjnego – zdawało się mówić Berkowe odbicie w lustrze. – Tyle że niezaślubiony.

Zaślubiony, zaślubiony, ale inaczej. Na tym cały wic polega. No dobrze, może nie wic, tylko problem. Lecz niewielki.

Miałeś być cudowną bronią premiera i co? Wychodzi na to, że ani wunder, ani waffe, co nie?

Nie!

Takiś mocny, takiś krzepki i wytrzymały, godziny spędzane na siłowni psu pod ogon. Tymczasem rozlazła guła taka jak Święczkowski zatrzymała cię chłodnym leszczem. A ty co? Święczkowski mnie popchnął – zwierciadło bezlitośnie przedrzeźniało Berka. – Pamiętasz Rokitę? Niemcy mnie biją…

Sędzia, doktor, były minister i radca prawny, tak, jednak radca prawny, napiął muskuły. Wyglądał groźnie jak człowiek z Cro-Magnon. Proporcjonalnie jak człowiek witruwiański. Monumentalnie jak człowiek z marmuru.

W sześćdziesięciu pięciu procentach składasz się z wody – odrzekł Berek w lustrze. – A twój mózg w siedemdziesięciu pięciu procentach – westchnął. Machnął ręką zrezygnowany. Zrobił zniechęconą minę.

Odbiło mu się. O mało nie puścił pawia.

**PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI**

# Nie ma i nie będzie

## Mroczna przyszłość TK

SŁOWO CZERWONE

Nie jestem fanem Trybunału Konstytucyjnego, o który teraz biją się dwa główne w Polsce stronnictwa. Bo nie widzę szczególnego powodu, aby klika osób w togach miała prawo niweczyć decyzje podejmowane przez przedstawicieli narodu wybranych w wolnych wyborach; ostatecznie zgodziłbym się na rozwiązanie pozwalające sejmowi odrzucić orzeczenie trybunału kwalifikowaną większością głosów.

Gdyby ci sędziowie byli bezpartyjnymi fachowcami nienależącymi umysłowo do żadnej partii – być może takie fachowe badanie konstytucyjności ustaw miałoby sens. Ale w naszych polskich warunkach sędziowie są raczej rycerzami swoich stronnictw niż prawnikami badającymi sprawę w oparciu o głęboką znajomość prawa. Prawo dla obu stron konfliktu jest tylko instrumentem do zwalczania przeciwnika. Dawniej – to trzeba odnotować – bywało lepiej; np. wtedy, kiedy trybunał uznał za niekonstytucyjną ustawę pozwalająca eksmitować dzieci i osoby niepełnosprawne na bruk.

Teraz Trybunału Konstytucyjnego nie ma – i wiele wskazuje na to, że nie będzie. Niby orzeka – zdarza się nawet, że sensownie. Ostatnio na pytanie, czy nadzorując eksmisję, sąd powinien brać pod uwagę rodzaj niepełnosprawności wyrzucanego lokatora, TK orzekł, żeby nie pakować człowieka bez nogi na czwarte piętro bez windy. To słuszne skądinąd orzeczenie nie występuje jednak w naszym porządku prawnym, bo rząd nie publikuje orzeczeń trybunału. A więc są one orzeczeniami nieistniejącymi.


Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Prezes TK Święczkowski zagradza nowym sędziom drogę korytarza sędziowskiego – bo prezydent nie zechciał przyjąć od nich ślubowania. Są tacy, którzy uważają, że owo ślubowanie nie ma znaczenia dla ważności wyboru sędziów przez sejm, bo o ślubowaniu nie mówi nic konstytucja. Ale nie możemy nic powiedzieć o konstytucyjności takich zachowań, bo organu badającego konstytucyjność takich czy innych zachowań polityków czy sędziów nie ma. I jak widać, nieprędko się pojawi.

Patriotycznego miasteczka namiotowego przed trybunałem też już nie ma, bo zlikwidowała je policja. Za każdym razem, kiedy władza zderza się fizycznie z opozycją na ulicach czy w wejściach do budynków, obie strony składają zawiadomienia do prokuratury. Ale niezależnie od tego, jaki sąd komu przyzna rację, skończy się na mandatach i niczego to nie wyjaśni.

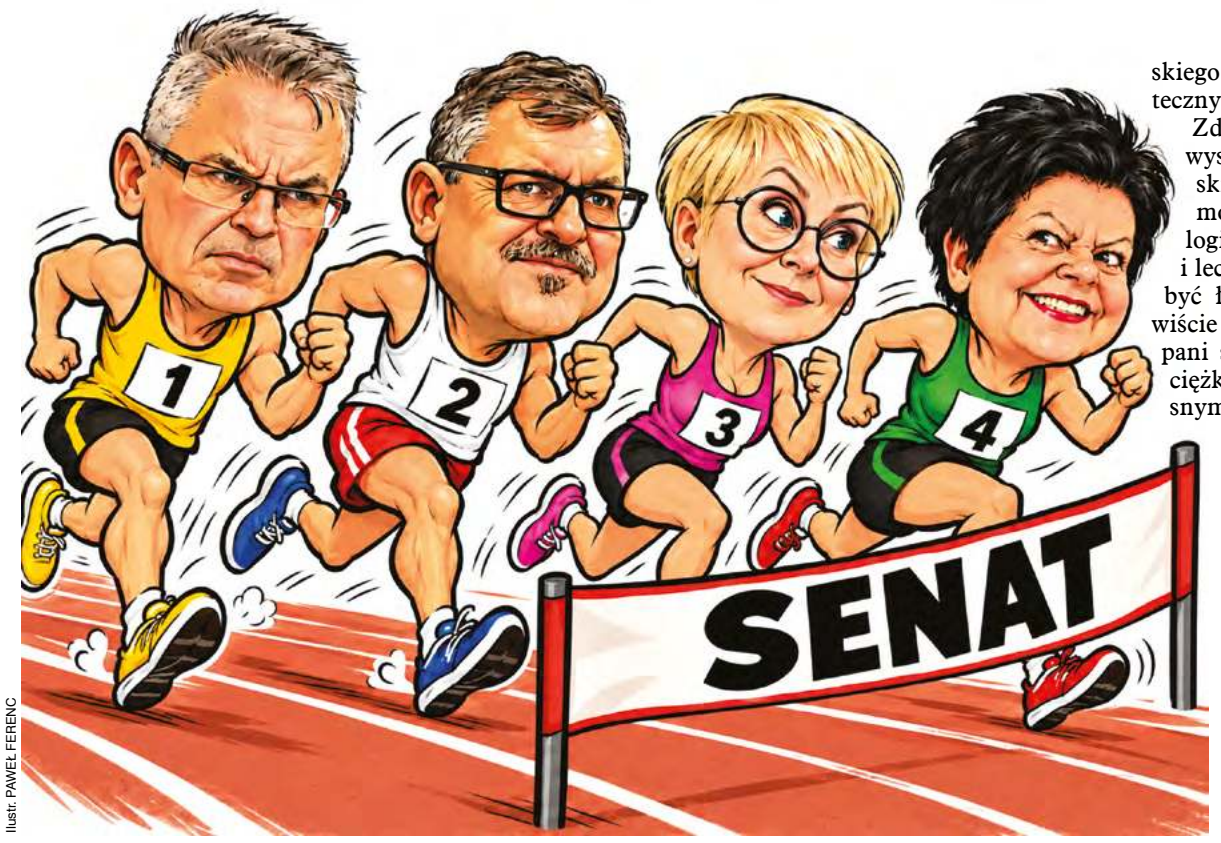
Od czasu do czasu głos zabierają geniusze wzywający do zgody i okrągłego stołu celem rozwikłania piętrzących się wokół wymiaru sprawiedliwości kontrowersji. Problem polega jednak na tym, że ani liberalny rząd, ani narodowi jego oponenci nie interesują się interesem narodu, który ostatecznie ponosi konsekwencje sporów o tryb wyboru sędziów, Krajową Radę Sądownictwa itp. Ludzie czekają dłużej na wyroki, które i tak można podważyć, powołując się na to, że sędzia był z nieprawego łoża – czyli powołany przez źle wybrany KRS.



eprasa.pl 869a80e13e

# Scheda po generale Różańskim

# Lubuskie idzie do senatu




Ilustr. PAWEŁ FERENC

22 listopada 2026 r. odbędą się wybory uzupełniające do Senatu RP. Mandat senatora w okręgu nr 20 wygasł w związku ze śmiercią senatora gen. Mirosława Różańskiego. Walka o miejsce w senacie w zachodnim bastionie Koalicji Obywatelskiej będzie dla niej srogim testem wizerunkowym.

O mandat zawalczy czworo kandydatów: Janusz Kubicki, Tomasz Naruszewicz, Zdzisława Różańska i Joanna Senyszyn. Na karcie do głosowania zostaną umieszczeni w kolejności alfabetycznej. Przedstawiamy wyborcom ściągę politycznych życiorysów.

## K jak kryzys

Na pierwszym miejscu zgodnie z alfabetem figuruje Janusz Kubicki, były wieloletni prezydent Zielonej Góry.

Kubicki reprezentuje Komitet Wyborczy Wyborców Po pierwsze Lubuskie, który przedstawia jako bezpartyjny, obywatelski i niezależny. To oczywiście marketingowa zagrywka. Poparcia udzieliły mu Prawo i Sprawiedliwość oraz lubuska Konfederacja. Eksprezydent, choć formalnie bezpartyjny, maczał pędzel w niejednym politycznym wiadrze.

Karierę zaczynał w SdRP, a następnie w Sojuszu Lewicy Demokratycznej, gdzie pełnił funkcję szefa lubuskich struktur. Z ramienia lewicy wdrapał się na stołek prezydenta miasta. Z partii odszedł w 2012 r.

Po olaniu lewicy przytulił się do środowisk liberalnych. W 2014 r. z powodzeniem wystartował do sejmiku z list Platformy Obywatelskiej, a rok później w wyborach prezydenckich z własnego komitetu z oficjalnym poparciem PO. W wyborach w 2018 r. (terminarz został zmieniony wskutek wcześniejszej fuzji miasta z gminą) startował z Komitetu Wyborczego Wyborców Janusza Kubickiego z poparciem m.in. Nowoczesnej. Po wygranej zaczął dystansować się od partii ogólnopolskich na rzecz własnych struktur i puszczał oko do PSL. W tamtym też czasie wsparł młodego Łukasza Mejzę, który z powodzeniem drugi raz wystartował do Sejmiku Województwa Lubuskiego z list Bezpartyjnych Samorządowców. Prezydent Kubicki zatrudniał świeżo upieczonego polityka oraz jego firmy w zielonogórskim Urzędzie Miasta. W 2019 r. zarekomendował swojego beniaminka na lubuską listę PSL. Gdy w marcu 2021 r. Mejza objął mandat poselski po zmarłej Jolancie Fedak, Kubicki nazwał go swoim „uczniem, który przerósł mistrza". Sam Mejza zwracał się do prezydenta per „mój generale".

Pod koniec ostatniej pełnej prezydenckiej kadencji radni Janusza Kubickiego weszli w ścisłą koalicję z PiS. W kwietniu 2024 r. Kubicki przerżnął drugą turę wyborów z kandydatem Koalicji Obywatelskiej Marcinem Pabierowskim.

Aktualnie kandydat na senatora pracuje na Uniwersytecie Zielonogórskim, gdzie wykłada kilka przedmiotów, m.in. zarządzanie logistyczne w sytuacjach kryzysowych. Ma w tym nie lada doświadczenie. W 2020 r. podczas pandemii Kubicki znalazł się w ogniu krytyki za sposób zarządzania kryzysem w zielonogórskim DPS-ie „Dom Kombatanta", gdzie wskutek rażących zaniedbań zmarło 108 mieszkańców. W 2023 r. w wyniku wieloletnich zaniedbań urzędniczych doszło do katastrofy ekologicznej w zielonogórskim Przylepie, gdzie spaliła się hala ze składem toksycznych odpadów. Jak pech, to pech… Wkurwieni chaosem informacyjnym mieszkańcy wystawili Kubickiemu laurkę w postaci czerwonej kartki.

Były prezydent oprócz kampanii ma obecnie na głowie dwa wątki śledcze, w ramach których usłyszał zarzuty prokuratorskie dotyczące przekroczenia uprawnień, niedopełnienia obowiązków oraz niegospodarności. W pierwszym z nich śledczy zarzucają mu stworzenie mechanizmu finansowania klubu żużlowego poprzez opłacanie z publicznej kasy osób fikcyjnie zatrudnionych w urzędzie, które wyceniono na blisko 2 mln zł szkody. Druga sprawa, która trafiła na wokandę, dotyczy podpisania rażąco niekorzystnej 10-letniej umowy najmu jednej z kamienic, co mogło narazić Zieloną Górę na stratę ponad 15 mln zł. Za czyn grozi do trzech lat pierdla, dlatego złośliwi twierdzą, że Kubickiemu w ewentualnej roli senatora najbardziej podoba się immunitet.

Dla zatarcia kiepskiego wrażenia Janusz Kubicki zamiast kiełbasą kusił wyborców dyniami podczas jednego ze spotkań wyborczych.

Wiewiórki ćwierkają, że na przełomie października i listopada w Zielonej Górze ze wsparciem dla Kubickiego mogą pojawić się: Przemysław Czarnek, Krzysztof Bosak, Sławomir Mentzen i Ewa Zajączkowska-Hernik.

Wyjątkowo gęsta créme de la créme prawicy…

## N jak narodowy

– To kandydat politycznie ekumeniczny, prawicowy, prawacki, wolnościowy, narodowy, konserwatywny, solidarnościowy – rekomendował w mediach społecznościowych Tomasza Naruszewicza Grzegorz Braun.

Naruszewicz to zielonogórski przedsiębiorca, wiceszef lubuskiej Korony, dawniej wiceszef Solidarnej Polski. Startuje z własnego komitetu KWW Tomasza Naruszewicza i ma wsparcie Konfederacji Korony Polskiej.

Jest też prezesem Stowarzyszenia Lubuszanie dla Rzeczpospolitej. „Tomasz Naruszewicz przez ostatnie 20 lat działając z zaangażowaniem moralnym czasowym i finansowym kształtował patriotyczne sumienia Polaków na Ziemi Lubuskiej. Bez niego, jego zaplecza lokalowego i finansowego nie odbyłoby się żadne spotkanie patriotyczne. Zjednoczenia 92, Kotwica to znane w Zielonej Górze miejsce gdzie swoje pierwsze kroki stawiały Lubuskie struktury RN, Konfederacji, Korony Brauna. Tomasz nie szczędził sił aby współpracować także z wartościową i patriotyczną częścią struktur PiS. To tam zbierała się i nadal zbiera prawdziwa patriotyczna prawica. Nasze serce w tej walce jest z »Naruszem«, a kto przeciw to zdrajca i kunktator. Amen" [pisownia oryginalna] – wymalowali zasługi prezesa członkowie stowarzyszenia. No właśnie, przeciw…

PiS i Konfederacja w wyborach uzupełniających do senatu testują prawicowy pakt senacki, który za rok może zostać przeniesiony na poziom ogólnopolski. Żeby nie rozpraszać głosów pomiędzy różnych kandydatów, wysuwają jednego kuca, tfu, konia. Konfederacja Korony Polskiej postanowiła prawicowym kolegom pokazać środkowy palec.

Co ciekawe, do KKP należy także pułkownik Daniel Różański, brat generała Mirosława. W regionie słychać głosy, że to właśnie z obawy, by pułkownik nie woził się politycznie na nazwisku zmarłego brata, z ramienia Komitetu Wyborców Koalicji 15 października wystartowała wdowa po nim – Zdzisława Różańska. Taki *plot twist*. Po naszemu: nieoczekiwany zwrot akcji.

## R jak regencja

O małżonce generała Różańskiego wiadomo niewiele. Studiowała kształtowanie terenów zieleni na Akademii Rolniczej w Szczecinie. Podczas prezentacji na konferencji prasowej można było się dowiedzieć, że ma doświadczenie jako przedsiębiorczyni, pielęgniarka i nauczycielka.

– Dotychczasowe życie, można powiedzieć, też pełniła w mundurze. Bo małżonkowie, partnerzy osób pełniących służbę w mundurze tak naprawdę są związani z tą służbą – zapewniał wicewojewoda lubuski Tomasz Nesterowicz.

– Strona demokratyczna ma jedną kandydatkę. Poznałam Dzidkę na lotnisku, gdzie przedstawił mi ją Mirosław Różański i powiedział, że to ona rządzi w jego domu. Jestem przekonana, że będziemy walczyć o jej mandat wspólnie, jako drużyna – cieszyła się posłanka KO i eksmarszałek lubuskiego Elżbieta Anna Polak. I dodała: – Strona demokratyczna ma jedną kandydatkę, a po drugiej? PiS i Konfederacja. No i jeszcze jakieś archiwum.

Pomyśleć, że pani poseł zaledwie kilkanaście dni wcześniej przewodniczyła Lubuskiemu Kongresowi Kobiet w Żaganiu, którego była pomysłodawczynią… Widać doświadczenie naukowe i polityczne profesor Joanny Senyszyn zapiekło poseł Polak podwójnie.

Koalicja Obywatelska, PSL, Lewica, Centrum i Polska 2050 chórem zapewniają, że Zdzisława Różańska nie jest zawodowym politykiem ani członkiem żadnej partii, jest za to gwarantem, że będzie reprezentowała wszystkich Lubuszan.

Na razie kandydatka Różańska stara się trzymać narzucone przez koalicyjnych kolegów tempo. W ciągu kilkunastu dni obskoczyła wszystkie imprezy w regionie: inaugurację roku akademickiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w świebodzińskim Domu Kultury, kongres w Parku Technologii Kosmicznych w Nowym Kisielinie (gdzie pokazała się obok zdetronizowanego szefa lubuskich struktur KO posła Waldemara Sługockiego). W repertuarze obwoźnym był też Dzień Otwarty poświęcony profilaktyce raka piersi w Uniwersyteckim Szpitalu im. Karola Marcinkowskiego i Bal Seniora „Viva Las Vegas" w zielonogórskiej Palmiarni. Na tym ostatnim przemawiała ze sceny w towarzystwie prezydenta Zielonej Góry Marcina Pabierowskiego z KO – przyjemne z partyjnie pożytecznym.

Zdzisława Różańska podkreśla w swoich wystąpieniach, że chce być głosem polskich żołnierek i żołnierzy oraz wspomóc pacjentów, zwłaszcza tych onkologicznych, w dostępie do specjalistów i leczenia. Z drugim postulatem może nie być łatwo. Kierunek działania jest oczywiście jak najbardziej słuszny, ale przyszłej pani senator bez doświadczenia może być ciężko walczyć w politycznej klatce z własnym stadem. A będzie się z czym mierzyć. Dopiero co 1,5 tys. pacjentek z zaawansowanym, rozsianym rakiem piersi straciło darmowy dostęp do skutecznej terapii lekiem o nazwie palbocyklib. Ministerstwo Zdrowia nie dogadało się z producentem leku co do ceny. Klops. Kto rządzi resortem zdrowia? Namaszczona osobiście przez premiera Tuska Jolanta Sobierańska-Grenda. Na domiar złego lubuscy włodarze zadecydowali o likwidacji najbardziej cenionej w regionie porodówki w Sulechowie. Pytanie, czy Dzidka ustawi ich do pionu, pozostaje otwarte.

## S jak specjalista

Listę zamyka jedyna lewicowa kandydatka: Joanna Senyszyn, która kandyduje z komitetu wyborczego swojej nowej partii – Nowa Fala Profesor Joanny Senyszyn.

Profesor nauk ekonomicznych, ceniony nauczyciel akademicki z poważnym dorobkiem publicystycznym. Przez kilkanaście lat jako posłanka i europosłanka pokazała, że nie pieści się w tańcu, jeśli idzie o prawa kobiet, świeckość państwa i sprawiedliwość społeczną.

Na start zdecydowała się – wyjaśnia z właściwym sobie wdziękiem – żeby wyborcy wreszcie nie musieli głosować na mniejsze zło, żeby mogli wybrać większe dobro: głosować na kogoś, kogo lubią i kto będzie ich dobrze reprezentował. Nie bez znaczenia jest fakt, iż żaden z jej konkurentów nigdy nie był parlamentarzystą. Rok, który został do końca kadencji, oni będą musieli poświęcić na uczenie się procedur, mechanizmów, praw i obowiązków, czy choćby popieprzonej topografii budynków na Wiejskiej.

**Bycie „wybrańcem narodu" to też zawód, który wymaga kompetencji i doświadczenia. Żeby załatwić coś dla regionu – najpierw trzeba wiedzieć jak i z kim. Senyszyn to wie, reszta będzie się dopiero uczyć.**

Pytana, co ma wspólnego z Zieloną Górą, Senyszyn odpowiada, że już tam mieszka, a jeśli zostanie zielonogórskim senatorem, przeprowadzi się na stałe; jest mobilna i niezależna, nie ma wnuków do niańczenia, otworzy biura we wszystkich powiatach i generalnie będzie jej w Zielonej Górze tyle, że aż za dużo. Podczas konferencji prasowej trafnie wypunktowała bolączki regionu: niedobór lekarzy i pielęgniarek w przeliczeniu na 10 tys. mieszkańców, kolejowe i autobusowe ubóstwo komunikacyjne, odpływ młodych ludzi z województwa oraz problemy zwiększającej się systematycznie grupy seniorów.

W poprzednich wyborach Joanna Senyszyn poparła Koalicję 15 października; teraz jednak – ocenia – obóz rządzący zatracił zdolność wygrywania wyborów. Jego błędy doprowadziły do zwycięstwa Karola Nawrockiego, odwołania Aleksandra Miszalskiego ze stołka prezydenta Krakowa i przegranej kandydatki KO Moniki Piątkowskiej z Łukaszem Gibałą. Dlatego jej kandydatura ma uchronić rządzących od klęski w Zielonej Górze.

Profesor Senyszyn, jak na dojrzałego emocjonalnie polityka przystało, zapowiada, że nie zamierza atakować konkurentów, będzie prowadzić pozytywną kampanię. Deklaruje również gotowość do debat z pozostałymi kandydatami: solo i w grupie.

Z socjologicznego punktu widzenia Lubuskie charakteryzuje się otwartością światopoglądową i głęboką laicyzacją. Mieszkańcom należy zatem życzyć, by ostatni byli pierwszymi.

**IDALIA DUBICKA**

---

Mało kto rozumie istotę tych sporów, choć większość zdaje się rozumieć, że padają ofiarami nieustannej walki o władzę.

Co do Trybunału Konstytucyjnego – wiadomo, że prędzej czy później skład TK się zmieni i będą w nim zasiadać sędziowie z nadania obecnej większości sejmowej. A wiele wskazuje na to, że

**wybory wygra prawica narodowa. Więc następny prawicowy rząd zrobi to, co obecny: odmówi publikowania orzeczeń. Skoro więc TK nie ma i nie będzie, skoro nikt nie będzie kontrolował konstytucyjności prawa, o co ten gwałt? O to, czyje na wierzchu.**

Smutny i absurdalny ten danse macabre.

W 1997 r. uchwaliliśmy konstytucję, zatwierdzoną przez ogólnonarodowe referendum. W art. 2 tego dokumentu pada obietnica, że Rzeczpospolita Polska będzie realizować zasadę sprawiedliwości społecznej. Gdyby w tym duchu orzekał Trybunał Konstytucyjny, uniknęlibyśmy wielu nieprawości naszego systemu, który jest zdecydowanie ustrojem niesprawiedliwości społecznej. Może nie bylibyśmy krajem o największych nierównościach w Unii Europejskiej. A prawo własności nie górowałoby nad większością pozostałych praw człowieka.

Często dość pochopnie uznajemy, że sejm wyraża wolę narodu. Gdyby wyrażał, wydawano by więcej na opiekę medyczną, pomoc społeczną, naukę i społeczne budownictwo mieszkaniowe.

Dlaczego jest, jak jest? Bo w sejmie większość obywateli nie jest wcale reprezentowana. Stąd część z nas tęskni za Trybunałem Konstytucyjnym. Arbitrem, który zmusi polityków do stosowania się do zapisów konstytucji.

**PIOTR IKONOWICZ**



eprasa.pl 869a80e13e




Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

# Do ciupy za talerz zupy

## Rząd Tuska odpuścił wsadzanie do pierdla za pomoc humanitarną

„Polska nie powtórzy błędów innych europejskich państw, nie będzie też za nie płacić. Twardo bronimy granicy przed nielegalną migracją, mamy własną politykę azylową (nie przyjmujemy wniosków), deportujemy tych, którzy łamią polskie prawo. W kwestii bezpieczeństwa będziemy bezwzględni. To usłyszeli ode mnie liderzy Europy w Brukseli” – z dumą napisał na X premier Donald Tusk po zakończeniu szczytu Unii Europejskiej. Faktycznie, ostatni pomysł Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji swoją bezwzględnością otarł się wręcz o faszyzm.

### Tuczenie paragrafu

„Dwa lata temu Rząd przyjął strategię migracyjną. »Odzyskać kontrolę. Zapewnić bezpieczeństwo«. 10 ustaw i kilkanaście rozporządzeń przygotowujących Polskę do wyzwań migracyjnych. Jest ona uważana za modelową w UE. Stąd zmiany w europejskiej polityce migracyjnej” – napisał trzy dni przed Tuskiem, również na X, podsekretarz stanu MSWiA Maciej Duszczyk. Tego samego dnia resort gęsto się tłumaczył, dlaczego zamierzał wsadzać obywateli do pierdla za podanie kubka gorącej herbaty lub ogrzanie w domu przemarzniętej osoby, która przekroczyła granicę w miejscu do tego nieprzeznaczonym.

MSWiA zaproponowało tzw. wrzutkę do projektu nowelizacji Kodeksu karnego (projekt UD 425), nad którym pracowało Ministerstwo Sprawiedliwości.

Chodziło o par. 1.264 a Kk, który przewiduje karę do pięciu lat więzienia dla osoby, „która w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej umożliwia lub ułatwia innej osobie pobyt w Polsce wbrew przepisom”. Rząd wpadł na pomysł, żeby rozszerzyć odpowiedzialność o przypadki, w których pomagający nie kieruje się chęcią uzyskania jakichkolwiek korzyści. Proceder miałby wówczas grozić nawet trzema latami w pace.

Pomysłodawcą zaostrzenia paragrafu był wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Czesław Mroczek. „Powyższa zmiana będzie miała pozytywny wpływ w kontekście zwalczania przestępczości organizowania przekraczania granicy RP wbrew przepisom. Aktualnie powyższe zachowanie nie jest penalizowane, co powoduje lukę dla osób, które wykorzystują takie sytuacje i pod pretekstem pomocy migrantom pomagają im w nielegalnym pobycie i stanowią punkt wyjścia do dalszej nielegalnej migracji do krajów Europy Zachodniej. Jednocześnie należy zaznaczyć, że nie są to pojedyncze przypadki, tylko długofalowe i zorganizowane działania, które osłabiają skuteczność organów ścigania” – napisał Mroczek w uzasadnieniu.

Co istotne, zmiana została zaproponowana już po konsultacjach i uzgodnieniach publicznych przygotowanego przez resort sprawiedliwości projektu zmian w kodeksie karnym. Wyjątkowo obrzydliwa zagrywka.

Pomijając fakt, że nowelizacja zrobiła z propagandy sukcesu o stuprocentowej szczelności granicy wiatrak – wprowadzona w życie zwyczajnie penalizowałaby pomoc humanitarną.

### Halo, władza, tu obywatele

Ustawowego bubla wyłapały i oprotestowały pozarządowe organizacje społeczne. 61 organizacji, w tym Amnesty International, Helsińska Fundacja Praw Człowieka i Fundacja Auschwitz-Birkenau, podpisało wspólne oświadczenie potępiające plany, które ich zdaniem mogłyby naruszyć międzynarodowe standardy wiążące Polskę. Pomysł Mroczka w dwóch punktach łamał konstytucję i pozostawał w sprzeczności z kodeksem karnym, który jasno stanowi, że nieudzielenie pomocy osobie, której życie i zdrowie są zagrożone, jest przestępstwem. Ponadto naruszał Powszechną Deklarację Praw Człowieka, Konwencję Genewską, Europejską Konwencję Praw Człowieka i prawo Unii Europejskiej.

Unijne standardy dotyczące zapobiegania nielegalnej migracji wyraźnie pozwalają państwom członkowskim na wyłączenie z odpowiedzialności karnej działań, których celem jest stricte pomoc humanitarna.

Stanowczy sprzeciw wobec propozycji MSWiA przekazała do szefa resortu sprawiedliwości ministra Waldemara Żurka i Komitetu Stałego Rady Ministrów minister rodziny, pracy i polityki społecznej.

**„Nie ma zgody na ściganie za podanie głodnemu człowiekowi ciepłej zupy, okrycie kocem czy opatrzenie rany. Demokratyczne państwo prawa nie karze ludzi za dobre uczynki” – napisała Dziemianowicz-Bąk w swoich social mediach. MSWiA rakiem wycofało się z propozycji**

i pozostawiło regulacje w dotychczasowym brzmieniu. Resort w opublikowanym komunikacie podkreślał, że celem było uderzenie w organizatorów przemytu, a nie w pomoc humanitarną. Srali muchy. „Zasada humanitarnego traktowania migrantów wymagających wsparcia medycznego lub ratunkowego jest niepodważalna. Tą samą zasadą w codziennej służbie kierują się funkcjonariusze Straży Granicznej. Bezinteresowne wsparcie humanitarne nigdy nie było i nie jest przedmiotem ścigania przez państwo polskie” – napisano w ministerialnym oświadczeniu, osiągając tym samym Himalaje hipokryzji.

Wystarczy wspomnieć proces piątki z Hajnówki, który zakończył się we wrześniu 2025 r. uniewinnieniem oskarżonych. Obywatele, którzy w okolicy Puszczy Białowieskiej udzielili pomocy rodzinie z Iraku, dostali zarzut ułatwiania pobytu osobom, które niezgodnie z prawem przekroczyły granicę Polski. Prokuratura wnioskowała o skazanie oskarżonych na rok i cztery miesiące pierdla. Wiceminister Mroczek próbował zagiąć parol na wszystkich aktywistów kierujących się podobnym odruchem zwykłej ludzkiej przyzwoitości – na szczęście nieskutecznie. Przepis uderzyłby też w ofiary handlu ludźmi, korzystające z pomocy NGO, i osoby prywatne, które do momentu otrzymania zaświadczenia od policji przebywają na terenie kraju nielegalnie.

Pytanie zasadnicze brzmi: na cholerę to komu było i w co grają partie rządzące?

### Ministerialny kocioł

Minister Dziemianowicz-Bąk podkreśliła, że Lewica nie zgadza się na kryminalizację bezinteresownej i płynącej z potrzeby serca pomocy drugiemu człowiekowi. W podobnym tonie wypowiadała się Anna Maria Żukowska. Wszystko fajnie, kłopot polega na tym, że wiceministrem MSWiA jest Wiesław Szczepański z Nowej Lewicy, który nie tylko nie zainterweniował, ale nawet nie skomentował wyskoku kolegi z resortu. Na marginesie mówiąc, o ile cały klub był przeciwko zawieszeniu prawa do składania wniosków o ochronę międzynarodową, to kolejne przedłużenia tego zakazu znajdowały już coraz więcej zwolenników wśród Nowej Lewicy. W głosowaniu z początku września takich rodzynków było już 11.

Koalicja Obywatelska, do której należy Czesław Mroczek, też nabrała wody w dziób. Nie padły nigdzie słowa o dymisji.

Trudno nie odnieść wrażenia, że gdyby nie organizacje pozarządowe, społeczny wkurw i dwie posłanki stojącej w rozkroku Lewicy, sprawę przyklepano by bez cienia krępacji. Nie jest to pierwszy i niestety najpewniej nie ostatni raz, gdy politycy – bez względu na reprezentowaną opcję – biorą na celownik zarówno migrantów i uchodźców, jak i osoby im pomagające.

Rząd nie tylko ma w pompie prawa człowieka, ale ewidentnie gardzi centrolewicowym elektoratem. Tym samym z uporem maniaka powiela błędy z kampanii prezydenckiej, kiedy próba liźnięcia elektoratu spod prawicowego ogona okazała się istotniejsza niż człowieczeństwo i własny zasób wyborców.

Zmobilizowanie koalicyjnych zwolenników do udziału w najbliższych wyborach parlamentarnych będzie ekstremalnie trudne. W przypadku przegranej najpewniej usłyszymy zaś (jak zwykle), że to elektorat dał dupy.

**LUCYNA MIKOŁAJCZAK**

# Arytmetyka niekompetencji

## Polska 2050 miała wnieść do polityki nową jakość – wniosła trzy ministry.

Kiedy Szymon Hołownia pojawił się w polskiej polityce, miał przewagę nad wszystkimi innymi politykami – nie był politykiem. Był za to panem z telewizora. Miłym, uśmiechniętym, potrafiącym wzruszyć się na zawołanie, a przede wszystkim obdarzonym umiejętnością wypowiadania całych potoków słów w sposób sprawiający wrażenie, że wie, o czym mówi. Co w polskiej polityce jest kwalifikacją nader pożądaną.

Z tej telewizyjnej popularności wyrosła Polska 2050. Partia, której nazwa sugerowała, że jej założyciel wie, jak będzie wyglądał świat za jakiś czas. Choć nie bardzo było wiadomo, czym ugrupowanie różni się od pozostałych oprócz tego, że jego lider nie miał jeszcze okazji sprawdzić się w sprawowaniu władzy. Programowo miało być nowocześnie, ekologicznie, europejsko, kompetentnie i oczywiście inaczej.

W wyborach parlamentarnych w 2023 r. Polska 2050 wystartowała wspólnie z PSL jako Trzecia Droga. Zdobyli 14,4 proc. głosów i 65 mandatów poselskich. Na czele Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej stanęła Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Ministerstwo Klimatu i Środowiska przypadło Paulinie Hennig-Klosce. Marta Cienkowska została najpierw wiceministrą kultury, a w lipcu 2025 r. objęła kierownictwo całego resortu. Trzy polityczki otrzymały wpływ na dziedziny, w których państwo wydaje duże – czasem ogromne – pieniądze i decyduje o warunkach życia milionów.

### Jacht odbudowy

Gdyby ktoś chciał wymyślić program mający w możliwie najkrótszym czasie ośmieszyć ideę racjonalnego wydawania unijnych pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy, nie musiałby się specjalnie wysilać. Wśród projektów pojawiły się jachty, sauny i rozmaite urządzenia rekreacyjne. Wszystko w ramach wspierania hotelarstwa, gastronomii i turystyki, czyli branży HoReCa, która rzeczywiście poniosła podczas pandemii straty. Tyle że między pomocą restauratorowi w odbudowie firmy a dofinansowaniem zakupu jachtu istnieje różnica, której autorzy programu nie potrafili opinii publicznej przekonująco wyjaśnić.

Do rozdysponowania przygotowano 1,2 mld zł. Podpisano 3206 umów. Gdy wybuchła afera, okazało się, że do 12 sierpnia 2025 r. beneficjentom wypłacono około 110 mln zł. Program dopuszczał rozszerzanie działalności, a zakup wyposażenia rekreacyjnego mógł być z takim rozszerzeniem związany.

I właśnie w tym tkwił problem. Skoro dopuszczał przedsięwzięcia, które następnie wywoływały powszechne oburzenie, należało zapytać nie tylko o uczciwość przedsiębiorców, ale przede wszystkim o sens reguł przygotowanych przez administrację.

Pełczyńska-Nałęcz wstrzymała wypłaty i zarządziła kontrole. W sierpniu 2026 r. dostępne zestawienie dotyczące afery HoReCa wskazywało już 827 kontroli na miejscu, 60 kontroli zakończonych korektami finansowymi i 48 rozwiązanych umów. Większość skontrolowanych projektów nie wykazała istotnych nieprawidłowości.

Najciekawsze w całej historii jest jednak to, że reguły programu zmieniano jeszcze podczas jego realizacji. Początkowo przedsiębiorca ubiegający się o pomoc musiał wykazać spadek obrotów o co najmniej 30 proc. Potem wystarczało już 20 proc. Ministerstwo tłumaczyło, że chodziło o osiągnięcie przewidzianej w KPO liczby wspartych przedsięwzięć. Dzięki temu wskaźniki miały szansę się zgodzić. Czy zgadzał się gospodarczy sens przedsięwzięć, to już zagadnienie znacznie bardziej skomplikowane.

Pełczyńska-Nałęcz nie ogranicza swojej działalności do nadzorowania unijnych miliardów. W maju 2026 r. podczas rozmowy w radiowej Trójce, krytykując opór wobec regulacji najmu krótkoterminowego, zapytała, czy mieszkańcy mają mieć możliwość decydowania, czy za ścianą funkcjonuje hotel, czy burdel. Problem najmu krótkoterminowego jest rzeczywisty. Tyle że od minister funduszy można oczekiwać wyjaśnienia, jakie przepisy go rozwiążą, kto będzie je egzekwował i jakie prawa pozostaną właścicielom nieruchomości. Zamiast tego opinia publiczna dostała burdel.

### Czyste powietrze, brudne rozliczenia

„Program Czyste Powietrze był niedostatecznie nadzorowany, a w jego realizacji dochodziło do wielu nieprawidłowości” – oznajmiła Paulina Hennig-Kloska w kwietniu 2025 r. Po czym zapewniła, że dzięki intensywnym działaniom udało się przywrócić płynność finansową i rozpocząć reformę programu.

„Czyste Powietrze” uruchomiono jeszcze za PiS-u, a system dofinansowywania wymiany pieców i termomodernizacji budynków od dawna wymagał poprawek. Nieuczciwi wykonawcy zawyżali koszty inwestycji, pojawiały się nieprawidłowości w dokumentacji, a właściciele domów nie zawsze byli w stanie zorientować się, czy oferowana im modernizacja rzeczywiście odpowiada ich potrzebom.

Nowa władza miała jednak tę przewagę nad poprzednikami, że mogła skorzystać z do-



eprasa.pl 869a80e13e

# Poszukiwacze skarbów poszukiwani

## Sześć miliardów dla detektorów



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Państwo polskie wreszcie znalazło pomysł na kulturę, który przemawia do obywatela prostym językiem. Nie będzie ratować walącego się historycznego budynku, żmudnie katalogować archiwów ani dopłacać do muzeum, w którym kustosz i tak nie ma już gdzie pomieścić starych gadżetów. Da człowiekowi wykrywacz metali, aplikację i szansę na ćwierć miliona złotych za to, że wykopie z ziemi prawdziwie polską i jak zawsze bohaterską historię. Historia też musi przecież zarabiać. Dziś, jeśli coś nie ma kodu QR, aplikacji i systemu promocyjnego, uchodzi za zapyziałą komunistyczną fanaberię.

### Ponad podziałami

To była inicjatywa posła PiS Roberta Telusa. Ówczesnego ministra rolnictwa, który w tamtej kadencji sejmu był główną twarzą i oficjalnym reprezentantem wnioskodawców stojących za tym projektem. To on wprowadził te przepisy pod obrady, ściśle współpracując z organizacjami zrzeszającymi detektorystów (w tym z Polskim Związkiem Eksploratorów). Ustawę podpisał Andrzej Duda.

Natomiast w obecnym Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego podtrzymują ten projekt. Kombinują, że jeśli po 1 stycznia 2027 r. jakiś koleś zgłosi poszukiwania i uzyska potwierdzenie w ministerialnej aplikacji, będzie mógł ruszyć w teren. Dzisiejsze MKiDN chce wprowadzić w życie pisowską ustawę dla poszukiwaczy skarbów. Brawo! Po kiego wała nam archeolodzy?!

Jeśli np. ty – zwykły człowiek – wyposażysz się w wykrywacz metalu i trafisz na przedmiot „o szczególnej wartości historycznej, artystycznej albo naukowej”, państwo może przyznać ci nagrodę do 25 przeciętnych pensji. Masa kasy! Gdy traf będzie jeszcze bardziej szczególny, materialnie cenny i dobrze rokujący medialnie, stawka wzrośnie do 30 pensji. Czyli do kwoty, za którą można stworzyć całkiem nowy kawałek historii, a potem opowiadać w telewizji, że ocaliło się ojczyznę. Mniej spektakularne znaleziska dostaną dyplom. Rozsądnie. Nie każdy ma przecież szczęście wykopać budżet państwa.

### PiS wykopuje, koalicja aplikuje

Ale co jest najpiękniejsze? To wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju fakt, że dzieje się to w naszej podzielonej na zwalczające się plemiona polityczne rzeczywistości. Bo to jest unikalne dzieło ponadpartyjne. PiS w 2023 r. uszył ustawę pod hasłem prostym jak łopata: mniej konserwatora, więcej wolności i koniecznie jeszcze nagroda – kasa. W sam raz na czas, gdy patriotyzm polityczny najlepiej mierzy się flagą, rekonstrukcją i liczbą monet wyjętych z ziemi albo z budżetu w prywatne, zachłanne łapki.

Nowa władza odziedziczyła bombę z cykającym zegarem. Mogła ją rozbroić. Mogła naprawić powolny system pozwoleń, zatrudnić ludzi w urzędach konserwatorskich, uprościć procedury dla rozsądnych i przeszkolonych poszukiwaczy. Zamiast tego Bożena Żelazowska,wiceminister MKiDN z PSL, przesunęła wybuch o dwa lata i zaczęła budować aplikację dla poszukiwaczy. To jej resort w marcu 2025 r. przedłożył rządowy projekt kolejnego przesunięcia terminu wejścia w życie ustawy (vacatio legis) na 1 stycznia 2027 r. Oto jest właśnie polska sztuka rządzenia. PiS wydłubało dziurę w prawie. Koalicja sprawdza, czy można ją zamienić w projekt cyfrowy. A zwykły obywatel ma być zachwycony, że do tej dziury będzie wpadało parę budżetowych miliardów szybciej – bo za pomocą smartfonu z aplikacją.

### Łaskawa polityka jak grzybobranie

Archeologia ma jeden przykry dla polityków problem: nie polega na zbieraniu rzeczy. Moneta, fragment miecza czy guzik nie są borowikami. Nie wystarczy znaleźć, otrzepać z ziemi, zrobić selfie i zanieść do państwa po dyplom albo przelew. Sens zabytku tkwi również w tym, gdzie leżał, w jakiej warstwie, obok czego, na jakim stanowisku, w jakim układzie. To jest kontekst. Bez niego przedmiot bywa efektowny, ale naukowo głuchy jak posłowie na argumenty.

Wyjęcie zabytku bez fachowej dokumentacji przypomina wyrwanie jednego zdania z akt sprawy i ogłoszenie, że właśnie rozwiązano zagadkę kryminalną: zostaje przedmiot, znika opowieść. A państwo, zamiast chronić opowieść, ustawia automat z nagrodami za najszybsze wyciągnięcie rekwizytu.

Ustawa zakazuje poszukiwań na części szczególnie chronionych terenów. Bardzo dobrze. Tylko że ochrona dziedzictwa nie polega na wykreśleniu kilku pól z mapy i wierze, że reszta kraju jest archeologicznie jałowa. Polska ziemia nie dostała przecież urzędowego polecenia, aby ukrywać przeszłość wyłącznie w miejscach oznaczonych czerwonym kółkiem.

### Miliardy za złom, czyli amatorskie eldorado

Najbardziej poetycka jest ekonomia tego przedsięwzięcia. Według obecnych szacunków system może kosztować ponad 6 mld zł rocznie. Miliardów, nie milionów! Około połowy tej sumy mają pochłonąć same nagrody, a reszta to ekspertyzy, konserwacja, transport, magazyny, urzędnicy, sprzęt i cała ta ponura infrastruktura, dzięki której skarb po znalezieniu staje się wiedzą.

Czyli mechanizm wygląda tak: prywatna adrenalina za publiczne pieniądze. Publiczna kasa na nagrody, publiczny magazyn, publiczny konserwator, publiczne badanie, publiczny rachunek. Słowem: kto płaci? Społeczeństwo. A jeśli kontekst znaleziska został rozpirzony przez pośpiech albo niekompetencję, to też nasz publiczny problem – publiczny koszt. Zysk i emocje znalazcy pozostają indywidualne. Oto gotowa „gorączka złota”.

Za te pieniądze można byłoby finansować konserwację zabytków, ratować lokalne muzea, wesprzeć biblioteki, archeologów, domy kultury i ludzi, którzy naprawdę wiedzą, co robią. Ale to wszystko nie ma tego sexy pierdolnięcia, jakie daje komunikat: „Gratulacje! Odbierz nagrodę”.

Krytycy ustawy podnoszą argument finansowo-logiczny. Mówią o „zalegalizowaniu paserstwa za państwowe pieniądze” i „legalnym wandalizmie”. Ministerstwo kultury zamienia się więc w Totalizator Dziedzictwa Narodowego. Losujesz teren, kupujesz baterie do wykrywacza metali, a polityk liczy, czy opłaca mu się opłacić twoje szczęście oraz zainwestować w magazyn do przechowywania materialnej konsekwencji twojego sukcesu.

### Proporcje finansowej katastrofy

Porównanie szacowanych kosztów wdrażanej nowelizacji z realnym budżetem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego najdoskonalej obrazuje finansowy absurd tych przepisów. Całkowity, oficjalny budżet państwa na całą kulturę i ochronę dziedzictwa narodowego wynosi 8,61 mld zł. Tymczasem, przypomnę, roczny koszt realizacji nowej ustawy szacuje się na ponad 6 mld. Gdyby ministerstwo miało sfinansować te przepisy bezpośrednio ze swojego budżetu, to ekscytacja poszukiwaczy skarbów pochłonęłaby niemal trzy czwarte wszystkich środków finansowych, jakimi dysponuje polska kultura. Potencjalne wypłaty gotówki do rąk własnych znalazców to niemal 40 proc. budżetu całego ministerstwa. Kolejne trzy duże bańki na biurokrację i logistykę: koszty ekspertyz, obowiązkowej konserwacji i magazynowania milionów obiektów zgłoszonych przez aplikację.

Co można sfinansować za 6 mld zł? Aby unaocznić, jak potężne pieniądze ministerstwo planuje przeznaczyć na „Program Skarb Plus”, warto zestawić te koszty z flagowymi wydatkami państwa na kulturę.

Całoroczny budżet wspierający operacyjnie rozwój kultury w Polsce (teatry, muzyka, sztuki wizualne, literatura, edukacja artystyczna czy infrastruktura domów kultury) wynosi 562 mln zł; niespełna jedną dziesiątą kosztu nowej ustawy. Powtórzmy: państwo tworzy dla poszukiwaczy skarbów mechanizm, którego roczne koszty pochłoną dekadę finansowania wszystkich teatrów, muzeów, filharmonii, zabytków nieruchomych i bibliotek w całym kraju razem wziętych.

### Pralnia pod gołym niebem

Pieniądze pieniędzmi, ale najładniejsza część projektu streszcza się w pytaniu: skąd właściwie pochodzi przedmiot zgłoszony w aplikacji? Ktoś może oczywiście uczciwie wykopać go właśnie tam, gdzie podał. Może też przynieść rzecz wyciągniętą lata temu, nabytą nie wiadomo od kogo albo przywiezioną nie wiadomo skąd. Aplikacja odbierze zgłoszenie. Ziemia, z której przedmiot kiedyś wyrwano, zeznań nie złoży. Oczywiście można grozić odpowiedzialnością za fałszywe oświadczenie. Można też ogłosić, że od jutra uczciwość będzie kontrolowana przez ej-aja. Polski ustawodawca kocha takie rozwiązania. Jeśli problem jest trudny, wpisuje się do formularza zdanie: „Oświadczam, że nie jestem cwaniakiem”. I już można wyciągnąć łapę po nagrodę.

Nie chodzi o to, że każdy detektorysta jest szabrownikiem. Wielu pasjonatów działa rzetelnie i współpracuje z muzeami. Właśnie dlatego nie trzeba było produkować prawa pisanego tak, jakby jedynym językiem współpracy między państwem a obywatelem była premia gotówkowa. Dobre prawo projektuje się nie dla aniołów, tylko tak, by nie nagradzało pokusy. A ta ustawa robi odwrotnie. Najpierw rozluźnia kontrolę, potem daje wysoką stawkę za wynik, a następnie prosi wszystkich, by zachowali się przyzwoicie.

### Dziedzictwo po polsku

PiS uznał, że patriotyzm najlepiej pobudzić premią. Obecna władza uznała, że wystarczy dopisać datę wejścia w życie i zamówić aplikację. Jedni uszyli legislacyjnego potworka, drudzy pokornie karmią go budżetem. Oto pisowskie ustawowe dziedzictwo, które przed wyborami ma za twoje pieniądze karmić przychylność detektorystów dla polityków Koalicji.

**ANNA GRODZKA**




Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

świadczeń wynikających z wieloletniego funkcjonowania programu. Tymczasem pod koniec listopada 2024 r. Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej wstrzymał przyjmowanie nowych wniosków. Zapowiedziano naprawę systemu.

Ponowne uruchomienie naboru nie zakończyło problemów. Nadal pojawiały się skargi dotyczące opóźnień w rozliczeniach, trudności z wypłatą dotacji i niepewności beneficjentów. Przedsiębiorcy zajmujący się termomodernizacją wskazywali na problemy z finansowaniem wykonanych prac. Właściciele domów skarżyli się, że nie wiedzą, kiedy otrzymają obiecane pieniądze.

W listopadzie 2025 r. Hennig-Kloska przekonywała, że w niespełna dwa lata obecny rząd wypłacił rodzinom więcej pieniędzy z „Czystego Powietrza” niż PiS w ciągu pięciu lat. Tyle że wysokim wypłatom towarzyszył spadek liczby nowych wniosków.

Jeszcze ciekawiej zrobiło się w czerwcu 2026 r. Wtedy Hennig-Kloska poinformowała, że w latach 2024–2025 dzięki programom „Czyste Powietrze” i „Ciepłe Mieszkanie” poprawiono efektywność energetyczną 556 828 domów, czyli około 763 dziennie. Ale po przeprowadzeniu analizy wyszło, że ministra około dwukrotnie zawyżyła liczbę domów poddanych termomodernizacji. Bo ministra klimatu powinna przecież wiedzieć, że istnieje różnica między złożeniem wniosku, podpisaniem umowy, wypłatą dotacji i zakończeniem termomodernizacji. Dom nie staje się cieplejszy dlatego, że urzędnik zarejestrował dokument.

### Kultura obsadzania

Marta Cienkowska została ministrą kultury w lipcu 2025 r. Wcześniej była wiceministrą, więc miała możliwość poznania resortu i jego problemów.

Pod koniec grudnia 2025 r. ministerstwo zdecydowało o odwołaniu Piotra Tarnowskiego, dyrektora Muzeum Stutthof w Sztutowie. Sprawa wzbudziła sprzeciw części środowiska muzealniczego, a negatywną opinię dotyczącą odwołania wydał Polski Komitet Narodowy Międzynarodowej Rady Muzeów, czyli ICOM. Ministerstwo uzasadniało decyzję nieprawidłowościami w gospodarce finansowej stwierdzonymi podczas kontroli.

Jeszcze większy rozgłos przyniosła Cienkowskiej sprawa Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie. 9 maja 2026 r. na terenie muzeum odbyło się wydarzenie muzyczne, którego charakter wywołał kontrowersje w mediach. Pięć dni później minister odwołała wieloletniego dyrektora placówki Pawła Jaskanisa. Ministerstwo wskazało, że powodem było złamanie przez dyrektora umowy określającej warunki organizacyjno-finansowe funkcjonowania muzeum, naruszenie programu jego działania oraz dobrego imienia instytucji.

Odwołania dyrektorów nie są reformą muzealnictwa. Aby mówić o rzeczywistych zmianach, trzeba pokazać, co stało się z programami badawczymi, wystawienniczymi, konserwatorskimi i edukacyjnymi. Ile pieniędzy przeznaczono na ochronę zbiorów, jakie inwestycje wykonano i jakie problemy udało się rozwiązać. Bez takich danych ministerialna polityka kulturalna sprowadza się w publicznym odbiorze do personaliów.

### Matematyka koalicyjna

Trzy ministerstwa, trzy różne dziedziny i trzy różne rodzaje kontrowersji. Łączy je kwestia odpowiedzialności politycznej.

Polska 2050 obiecywała nową jakość zarządzania państwem. Dlatego działalność jej ministrów powinna być oceniana nie tylko według standardów, do których przyzwyczaiły obywateli poprzednie rządy, ale również według standardów zapowiadanych przez samo ugrupowanie.

**Jeśli partia przedstawia się jako formacja kompetentnych fachowców, nie wystarczy argument, że poprzednicy byli gorsi.**

Tusk ma z pozostałościami po Polsce 2050 problem, którego nie rozwiąże żadna konferencja prasowa. Nie może jednak ignorować faktu, że jego gabinet opiera się na koalicji kilku ugrupowań. I to właśnie arytmetyka stanowi podstawowe ograniczenie swobody premiera. Parlamentarna większość tworzy mechanizm, w którym polityczna odpowiedzialność ministra nie zależy jedynie od wyników jego pracy, ale i tego, jakie konsekwencje dla całego gabinetu mogłoby mieć jego odwołanie.

Tusk musi liczyć głosy, żeby utrzymać rząd. Większość sejmowa jest niezbędna do rządzenia, ale sama większość nie dowodzi jeszcze, że rządzi się dobrze.

**TOMASZ BOROWIECKI**



eprasa.pl 869a80e13e

# Tak się dorobił

GADMAN

## Wtedy też pierwszy milion trzeba było ukraść



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Powstanie zaplanowano na 1 maja 1876 r. Ale turecka policja nie dała się uśpić. W kwietniu zaczęła prewencyjne aresztowania. Zdesperowani konspiratorzy porwali się do walki. Pierwszy turecki żołnierz poległ na kamiennym mostku w Kopriwszticy. Dziś uroczym zabytkowym miasteczku. Bronił „konaku". Siedziby władz i posterunku wojskowego. Zdobyła go czeta Georgiego Benkowskiego. Tak wybuchło bułgarskie powstanie kwietniowe.

Potem Benkowski ruszył rozbijać kolejne tureckie posterunki. W wyzwolonych miasteczkach cerkiewne dzwony wieściły odzyskaną Niepodległość.

Na pomoc powstańcom ruszył z sąsiedniej niepodległej Rumunii Christo Botew. Świetny poeta, odważny rewolucjonista, żołnierz amator. Wraz z dwustuosobową czetą uprowadzili kursujący po Dunaju austriacki parowiec „Radetzky". Ironią historii jest, że patronem statku był austriacki marszałek, niedawny pogromca dążących do niepodległości Włochów. Dziś znany w popkulturze z napisanego przez Johanna Straussa „Marszu Radetzkiego": hiciora tradycyjnie kończącego koncert noworoczny Filharmoników Wiedeńskich.

Wojska tureckie szybko ruszyły do kontrofensywy. Botew zginął po trzech dniach potyczek. Benkowski w zasadzce. W Perusztycy oblężeni w cerkwi powstańcy pozabijali swe żony i dzieci, a potem odebrali sobie życie.

Tureckie wojska wsparli baszybuzucy. Gotowi do rabunków i czystek etnicznych bałkańscy bandyci. Symbolem ich represji stał się Batak w Rodopach, gdzie dokonali masakry mieszkańców, nie oszczędzając kobiet i dzieci.

Obrazy zniszczonego Bataku, relacje o pozostawionych bez pochówku ciałach stały się jednym z najmocniejszych świadectw osmańskich represji w oczach europejskiej opinii publicznej.

### Europa się budzi

Rzeź Bułgarów wywołała wielkie oburzenie w Europie. W obronie represjonowanych zgodnie stanęli Wiktor Hugo, Oscar Wilde, Karol Darwin, Giuseppe Garibaldi, Lew Tołstoj, Fiodor Dostojewski, Dymitr Mendelejew. Korzystając z antytureckich nastrojów, wojnę Imperium Osmańskiemu wypowiedziała Serbia. Liczyła na interwencje Rosji i neutralność pozostałych mocarstw.

Rosja skorzystała z okazji. Imperium rosyjskie od lat marzyło o zdobyciu czarnomorskich cieśnin i mitycznego Konstantynopola. Mekki wschodniego chrześcijaństwa. Przy okazji zdobywała Rosja laur protektora i obrońcy chrześcijańskich Słowian. Bliskich jej językowo Bułgarów też.

W czerwcu 1877 r. udało się rosyjskiej armii zaskoczyć Turków. Sforsowali Dunaj, zdobyli twierdzę Nikopol. Dzięki bułgarskim przewodnikom bez walk zajęto Starą Zagorę i strategiczną przełęcz Szipkę.

Ale potem lepiej uzbrojona i dowodzona armia turecka Osmana Paszy ufortyfikowała Plewen i tam zatrzymała silniejsze siły rosyjskie. Atakując tureckie forty, rosyjskie oddziały wykrwawiały się niemiłosiernie.

Druga armia dowodzona przez Sulejmana Paszę odebrała Starą Zagorę i doszła do Szipki. Grożąc uderzeniem od tylu na armię rosyjską wspomaganą przez sojusznicze wojska rumuńskie. Los wojny zawisł na dwóch obronach. Tureckiego Plewna i Szipki bronionych przez Rosjan i Bułgarów. Plewen padł, Szipka się utrzymała.

Wiosną 1878 r. wzmocniona posiłkami armia rosyjska zdobyła Sofię, potem Adrianopol i stanęła u bram Stambułu. Od totalnego upadku Imperium Osmańskiego uratował je koncert ówczesnych mocarstw.

W czerwca 1878 r. rozpoczął się kongres berliński. Przy stole zasiedli przedstawiciele Niemiec, Wielkiej Brytanii, Austro-Węgier, Francji, Włoch, Rosji i Imperium Osmańskiego. Państwa bałkańskie, których granice wtedy ustalano, nie miały wiele do gadania. Berlin chciał pogodzić interesy Londynu, Wiednia i Petersburga. Nie dobijać Stambułu.

Dlatego zdecydowano, że na północ od Starej Płaniny powstało autonomiczne Księstwo Bułgarii, formalnie pozostające pod zwierzchnictwem sułtana. Na południu utworzono bułgarską Rumelię Wschodnią, także należącą do Imperium Osmańskiego, lecz posiadającą autonomię i chrześcijańskiego gubernatora. Macedonia pozostała pod władzą Stambułu. Niepodległość Rumunii, Serbii i Czarnogóry została utrzymana.

Rosja odzyskała południową Besarabię i zachowała nabytki na Kaukazie. Wielka Brytania przejęła administrację nad Cyprem. Austro-Węgry otrzymały prawo okupacji i administrowania Bośnią i Hercegowiną. Sandżak nowopazarski, osmański okręg między Serbią a Czarnogórą, pozostał pod administracją sułtana. Ale Wiedeń utrzymywał tam garnizony. Korzystał ze szlaków wojskowych i handlowych. Taki kompromis musiał prowadzić do kolejnych wojen na Bałkanach.

### Nasi tu byli

Polacy walczyli po obu stronach. Kilkuset broniło Imperium Osmańskiego. Jako „kozacy osmańscy", ze sformowanych jeszcze w latach 50. przez Michała Czajkowskiego oddziałów. Czajkowski już nimi nie dowodził. Wcześniej oddał się na łaskę cara rosyjskiego i osiadł na Ukrainie. Schwytanych protureckich Polaków rosyjskie władze wojskowe skazały na śmierć.

Znacznie więcej Polaków walczyło po carskiej stronie. Niedaleko przełęczy Szipka znajdziemy armaty „polskiej baterii" pułkownika Drozdowskiego. W skład rosyjskiej armii naddunajskiej wchodzili rekruci z warszawskiego, kijowskiego i odeskiego okręgu wojskowego. Wedle szacunków w tej wojnie mogło walczyć nawet 50 tys. żołnierzy polskiego pochodzenia. 10 proc. całej armii. Wraz z nią ponieśli olbrzymie straty, bo dowództwo nie liczyło się z krwią szeregowych żołnierzy.

Znamy też kadrę generalską i oficerską polskiego pochodzenia. Szefem sztabu armii naddunajskiej był generał Artur Niepokojczycki. Wcześniej walczył z kaukaskimi góralami i węgierskimi powstańcami; po węgierskiej stronie był wtedy generał Józef Bem. Niepokojczycki w wojnie z Turcją zasłynął wojskową nieudolnością i rozpasaną korupcją. Kradł z wojskowych dostaw, ile mógł. Jego zastępca generał Kazimierz Lewicki był podobno człowiekiem uczciwym, ale pozbawionym talentów operacyjnych. Wierny, mierny. W armii carskiej służyli też inni generałowie polskiego pochodzenia: Dobrowolski, Biskupski, Elżanowski. Do stopnia generalskiego awansował Dymitr Nagłowski. Był utalentowany, wcześniej zasłużył się w stłumieniu powstania styczniowego.

Trzon wojskowego korpusu medycznego stanowili Polacy. Na sofijskim pomniku poległych wtedy lekarzy można było przeczytać nazwiska: Łubieński, Zakrzewski, Wojciechowski, Leszczyński, Bogusławski. Kilku z nich osiedliło się potem w Bułgarii, dostali propozycje tworzenia tam wojskowego korpusu lekarskiego.

Wojna rosyjsko-turecka wywołała wiele emocji na ziemiach polskich. Szczególnie w zaborze rosyjskim. Na jej początku w warszawskich sklepach ceny poszły w górę. Potem nie dawano dalszego kredytu dla dłużników. Warszawska ulica manifestowała sympatie protureckie. Na ulicach wyrostki szyderczo kłaniały się „po muzułmańsku" napotkanym rosyjskim oficerom. A na wystawach warszawskich cukierników pokazały się reklamy „tureckich specjałów".

Wrzało też wśród młodych socjałów, polskich i rosyjskich. Początkowe klęski wojsk rosyjskich wywoływały nadzieje na osłabienie reżimu. Rewolucję nawet.

Najbardziej wsławił się w tej wojnie generał Józef Hurko. Ma swój pomnik i ulicę w Sofii. Był rzeczywiście skutecznym generałem. Był też wnukiem polskiego szlachcica Józefa Hurki-Romejki. Synem Józefa Hurki, też wojskowego, też generała. Hurko senior awansował na stopień kapitana carskiej armii w 1813 r. po bitwie pod Lipskiem. Po drugiej stronie walczył wówczas dowódca wojsk Księstwa Warszawskiego marszałek Józef Poniatowski. Marszałek Józef utonął wtedy w rzece Elsterze. Kapitan Józef bitwę przeżył. Zdobywał Paryż w 1815 r. Z tamtych czasów pochodzą bary bistro. Powstały, bo niecierpliwieni Kozacy poganiali kelnerów, by nalewali im bystro, bystro, bystro.

Hurko senior został pochowany w Rosji, ale na cmentarzu rzymskokatolickim. Jego syn za zasługi w wojnie z Turkami został mianowany generałem kawalerii. W latach 1883–1894 był generał-gubernatorem warszawskim i dowódcą Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Zaciekłym zwolennikiem rusyfikacji. Wyrugował język polski ze szkół i urzędów, zaostrzył cenzurę. To Hurko, sterując sądem wojskowym, skazał na wysokie wyroki „Proletariatczyków". Jednym z powieszonych był Stanisław Kunicki; syn wojskowego, lekarz z wojny tureckiej w 1877–1878. Kiedy w 1882 r. robotnicy Łodzi, Zgierza i Pabianic zastrajkowali, wysłanemu korpusowi ekspedycyjnemu generał Hurko rozkazał „patronow nie żaliet".

Pochowano go w Rosji na cmentarzu kalwińskim. Jego synowie służyli potem w radzieckiej bezpiece i wojsku. Dwóch zostało generałami.

### Fikcja prawdziwa

Stanisław Wokulski, bohater powieści „Lalka" Bolesława Prusa, za młodzieńczy romantyczny udział w powstaniu styczniowym trafił na siedmioletnią zsyłkę na Syberię. Sybir był dla wielu takich szkołą uczącą realnego życia. Literacki Wokulski poznał tam rosyjskiego „kupca" Suzina. Dzięki tej znajomości ruszył potem z nim na wojnę rosyjsko-turecką. Ale tym razem nie walczyć. Zabrał 30 tys. rubli. Zarobił 300 tys.

**Prus pisał powieść w czasach rosyjskiej cenzury. Nie napisał, czy Wokulski robił interesy z generałem Arturem Niepokojczyckim, czy z innymi umundurowanymi złodziejami. Tak czy siak, ten ostatni bohater romantyczny polskiego pozytywizmu swój majątek zarobił na okradaniu żołnierzy, także polskich.**

Tych, którzy w Bułgarii ginęli z braku prowiantu, ciepłych szyneli, amunicji. Bo je korzystnie kupili i odsprzedali „kupcy" Suzin & Wokulski. Zmarły albo zabity żołnierz to brakujący świadek i dowód korupcji. Dodatkowa korzyść w zacieraniu korupcyjnej transakcji.

Wokulski zarobił swój pierwszy milion, bo pojął zasady akumulacji kapitału. Zrozumiał, że on może go jedynie ukraść. Z rosyjskiej gigantycznej kasy, z „przyjaciółmi Moskalami" do spółki. Nie w biednej, drobnomieszczańskiej Polsce.

Ale nie dlatego literacka panna Izabela wzdrygała się przed oddaniem Wokulskiemu swej arystokratycznej ręki.

**PIOTR GADZINOWSKI**

# Pomarańczowa desperacja

## To nafta rządzi Trumpem, a nie Trump naftą

Sądząc po efektach wojny z Iranem, można wnioskować, że Donald Trump nie sprawdził się w roli wojownika. Niejednokrotnie anonsował swoje zwycięstwo w tej wojnie – jednak te enuncjacje mają taką samą wartość jak zapowiedzi przejęcia Grenlandii. Skoro nie wyszło mu wojowanie, to wrócił na swoją właściwą pozycję – biznesmena i handlarza. Tak można tłumaczyć jego ostatnie meandry wokół rosyjskich paliw.

### Jak trwoga, to do Kremla

Atakując Iran, Trump liczył na to, że do spółki z Izraelem uda mu się błyskawicznie zdruzgotać Republikę Islamską i przejąć jej zasoby ropy naftowej. Blitzkrieg się nie powiódł, za to znacznie podskoczyły w górę ceny ropy. O ile jeszcze w czerwcu ubiegłego roku ropa kosztowała nieco powyżej 75 dol. za baryłkę (159 l.), to po rozpoczęciu wojny wzrosła w okolice 100 dol. Uderzyło to w amerykańskich konsumentów benzyny, co mocno zaszkodziło wizerunkowi prezydenta przed uzupełniającymi wyborami do senatu 3 listopada. Ponadto podrożał olej napędowy, co nie może cieszyć amerykańskich farmerów.

W takich okolicznościach Trump musiał zareagować. W ostatnich dniach września nakazał uwolnienie 40 mln baryłek z rezerw strategicznych, co doprowadziło do spadku światowych cen ropy do 89 dol. za baryłkę. W samych Stanach benzyna staniała o 60 proc., do 1,66 dolara za litr. Były to jednak działania krótkoterminowe, niepowodujące trwałej zniżki cen. Potrzebne były dalsze kroki. Trump nie mógł przyznać, że atakując Iran, on sam wywołał kryzys paliwowy. Wolał tłumaczyć, że za wzrost ceny ropy odpowiada Ukraina, ponieważ atakuje rosyjskie rafinerie.

Taka ocena była dodatkowym argumentem na rzecz uwolnienia Rosji z gorsetu ograniczającego eksport jej produktów naftowych. Trump ogłosił, że znosi zakaz sprzedaży rosyjskiego paliwa dieslowego do Stanów Zjednoczonych i na rynki światowe. Nadzorujący sektor energetyczny rosyjski wicepremier Aleksandr Nowak zaanonsował, że już w październiku Rosja jest gotowa dostarczyć Stanom Zjednoczonym, a także innym rynkom, 300 tys. ton paliwa, w listopadzie może zwiększyć eksport do 500 tys., w grudniu do miliona, a w perspektywie nawet do 3 mln ton miesięcznie. Przy czym dodał, że rosyjski rynek wewnętrzny będzie w pełni zaopatrzony w paliwo. Nowak informuje, że ze stroną amerykańską trwają intensywne rozmowy na szczeblu odpowiednich resortów, a Departament Energii USA przedstawił listę firm chcących kupować rosyjskie paliwo. Z kolei czołowy rosyjski negocjator Kirił Dmitriew podkreśla, że kwestia paliwowa jest jedną z wielu omawianych ze stroną amerykańską. Oprócz tego deliberuje się m.in. na temat Arktyki, gazu skroplonego LNG, nawozów mineralnych oraz projektów energetycznych. Dmitriew wspomniał też, że USA potrzebują aluminium i rzadkich metali, którymi dysponuje Rosja, dając pośrednio do zrozumienia, że i w tej materii możliwy jest jakiś deal.

### Zięciu z kumplem

Decyzja Trumpa była poprzedzona rozmowami, jakie wysłannicy amerykańskiego prezydenta Witkoff i Kushner odbyli w Moskwie z samym Putinem. Jak pisze „New York Times",



eprasa.pl 869a80e13e

# Największy łobuz na światowym podwórku

## Sześć dekad blokady Kuby



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

27 i 28 października Zgromadzenie Ogólne ONZ potępi Stany Zjednoczone i ich bandycką politykę wobec Kuby – jak czyni to regularnie od ponad trzech dekad. Rytuał powtarza się od 1992 r.: 160 do 190 krajów upomina w rezolucji światowego hegemona, że miażdżenie gospodarki małej wyspy i głodzenie jej ludności jest niemoralne, a hegemon i jego państwa klienteliystyczne głosują przeciw (wyjątkiem był rok 2016, kiedy Stany, a w ślad za nimi naturalnie Izrael, wstrzymały się od głosu w ramach odwilży z czasów Obamy). Ostatnio do grona zwolenników państwowego terroryzmu USA dołączyła Ukraina – co jest jednak nieco zaskakujące. Kto jak kto, ale Ukraina powinna wiedzieć, jak to jest być pod butem imperium, które uważa cię za swoją strefę wpływów…

Tak naprawdę szczegółowy rozkład głosów nie ma jednak specjalnego znaczenia: rezolucja nie ma mocy prawnej, jest w zasadzie tylko okazją do opowiedzenia, po raz kolejny, jak straszliwym skurwysyństwem wykazuje się „lśniące miasto na wzgórzu" wobec narodu, który w 1959 r. odrzucił kapitalizm w jego szczególnie uroczym, mafijnym wydaniu.

### Zagłodzić za popieranie rewolucji

Filozofia postępowania USA wobec Kuby nie zmieniła się od 1960 r., kiedy to zastępca sekretarza stanu ds. Półkuli Zachodniej Lester Mallory opracował tajne memorandum zatytułowane „Osłabienie i upadek Castro". Odnotował, że większość Kubańczyków popiera rewolucyjny rząd, toteż

**polityka USA powinna dążyć do „obniżenia płac nominalnych i realnych, wywołania głodu i desperacji, co doprowadzi do obalenia rządu". Trump i jego nieco niedorozwinięty sekretarz stanu Marco Rubio nie wymyślili zatem nic nowego – ale podnieśli kurewstwo do nowego poziomu.**

W Polsce mówimy o tym (jeśli w ogóle mówimy) „embargo", ale Kubańczycy używają znaczne trafniejszej nazwy: „bloqueo", czyli blokada. To słowo lepiej opisuje totalne skutki jednostronnych sankcji, stosowanych bez zgody ONZ przez nieliczące się z ładem międzynarodowym rozbójnicze imperium.

Metody stosowane przez USA opisuje najnowszy raport specjalnego sprawozdawcy ONZ ds. negatywnych skutków jednostronnych środków przymusowych na realizację z praw człowieka, Aleny Douhan.

Przede wszystkim – to nie jest tak, że USA odcięły Kubę od współpracy ze sobą. To jeszcze byłoby pół biedy – choć idea mszczenia się za znacjonalizowany sześć dekad temu mafijny majątek dobrze pokazuje amerykańskie priorytety. Jednak Stany ze swoją pozycją największego łobuza na światowym podwórku skutecznie zastraszają innych graczy. Amerykanie mają na to słowo *bully*: to taki skurwiel, który dla zabawy terroryzuje mniejsze dzieci, zabiera im kanapki i kieszonkowe.

Stany wprowadziły np. przepis mówiący, iż jeśli chodzi o eksport na Kubę, towar jest „amerykański", jeśli wartość amerykańskich komponentów lub technologii stanowi 10 proc. jego ceny (dla innych krajów granica ta wynosi 25 proc., co i tak jest bezczelną uzurpacją). A jak towar jest „amerykański", to producent musi uzyskać specjalne amerykańskie zezwolenie na sprzedawanie go na Kubie – i przeważnie go nie uzyskuje. A jak Ameryka uzna, że złamał embargo – to, jak każdy *bully*, zabiera ofierze nie tylko kanapkę i kieszonkowe, ale cały tornister. Nauczką dla światowego biznesu stał się francuski bank BNP Paribas, który w 2014 r. (czyli za Obamy) – w ramach „ugody" – zapłacił Stanom 9 miliardów dolarów kary za złamanie sankcji wymierzonych w Kubę, Sudan i Iran. Nietrudno zgadnąć, że sytuacja ta ma efekt mrożący: firmy uprawiają coś, co Douhan nazywa uprzejmie „overcompliance" – czyli nadgorliwie przestrzegają zbójeckiego amerykańskiego prawa, żeby nie podpaść łobuzowi.

To odcięło Kubę – czyli lud kubański, nie „reżim" – od wszelkich dostaw. Nie ma ropy – a zatem nie ma prądu, wody w kranach, komunikacji publicznej, transportu towarów, w tym żywności. Nie ma irygacji, więc cierpi rolnictwo. Brak nasion, nawozów, paszy i szczepionek dla żywego inwentarza; produkcja żywności spadła do poziomu 22 proc. zdolności wytwórczych. Szaleje niedożywienie: w 70 proc. kubańskich gospodarstw domowych ludzie jedzą mniej albo rzadziej, niż jest to niezbędne do prawidłowego funkcjonowania. Subsydiowana żywność na kartki – które obejmują ponad 60 produktów – pokrywa zaledwie 40 proc. zapotrzebowania energetycznego, bo więcej żywności państwo po prostu nie ma.

Nie ma części do urządzeń ani obsługi serwisowej. Państwa europejskie dostały takiej sraczki ze strachu przed Ameryką, że wysyłają na Kubę techników z Rosji, bo tylko oni są gotowi jechać.

A jak już Kubańczykom uda się coś kupić, to muszą to robić dookoła świata, korzystając z całego łańcucha pośredników, co podnosi cenę o 30–40 proc. Mało tego: muszą płacić w gotówce i z góry – np. za amerykański drób, teoretycznie niepodlegający embargu, kubańscy importerzy muszą zabulić z wyprzedzeniem 45-dniowym. A jak ktoś ich wydyma, to nie mają możliwości dochodzenia swego, bo gdzie: przed amerykańskim sądem?

Do tego dochodzi np. przepis, że statek – niezależnie od bandery – który zawinie do kubańskiego portu, przez 180 dni nie może wchodzić do portów amerykańskich. Liczba przystanków rejsów wycieczkowych w kubańskich portach zmalała przez ostatnią dekadę o 90 proc.

### Mordowanie służby zdrowia

Dramatyczna jest sytuacja służby zdrowia. Nawet w Polsce słyszeliśmy o tym, że w odciętych od prądu szpitalach kubańscy chirurdzy operują przy latarkach w komórkach. 96 tys. pacjentów – w tym 11 tys. dzieci i ponad 4500 pacjentów onkologicznych – jest na liście oczekujących na operacje. Najbardziej cierpią oczywiście najsłabsi: śmiertelność niemowląt wzrosła z 4 do 9,9 na 1000 urodzeń żywych. Ale to rzecz jasna nie koniec. W efekcie przejmowania różnych międzynarodowych firm medycznych i farmaceutycznych przez podmioty amerykańskie urwała się dostawa lekarstw – od preparatów do leczenia raka i chorób serca aż po paracetamol i środki przeciw owadom, co jest dość istotne, zważywszy na powracające epidemie przenoszonej przez komary gorączki denga i chikungunya. Sprzęt służący do badań nad szczepionkami i ich produkcji jest unieruchomiony z powodu braku części zamiennych. A warto wiedzieć, że Kuba była jednym z niewielu krajów, które opracowały własną szczepionkę na koronawirusa (Soberana) i pierwszym takim w Ameryce Łacińskiej. Brak możliwości testowania szczepionek ma zatem wpływ nie tylko na zdrowie Kubańczyków, ale też całego regionu.

Kraje Ameryki Łacińskiej korzystały ze znakomitego poziomu kubańskiej medycyny nie tylko w zakresie szczepionek. Szczególnym skurwysyństwem jest kampania, jaką Trump rozpętał przeciwko kubańskim lekarzom, którzy od dziesiątek lat ratują życie mieszkańców najuboższych regionów, którzy inaczej byliby pozbawieni opieki medycznej. Od sierpnia zeszłego roku Stany Zjednoczone odbierają wizy reprezentantom państw, które korzystały z pomocy kubańskich medyków – akcja obejmuje dyplomatów, urzędników i ich rodziny. Jakakolwiek – szczątkowa już – pomoc z USA dla biednych krajów została uzależniona od rezygnacji ze współpracy z kubańskimi lekarzami. Również pracownicy organizacji humanitarnych boją się nieść pomoc na Kubie – bo może to grozić zakazem wstępu do USA. Dotyczy to nawet personelu ONZ. Warto przy tym pamiętać, że Kuba, jako wyspa na Karaibach, jest szczególnie narażona na katastrofy naturalne, związane ze zmianami klimatu, do których się nie przyczyniła (Fidel Castro bardzo wiele mówił i pisał na ten temat w swoich ostatnich latach) – np. w 2024 r. przeżyła dwa huragany i dwa trzęsienia ziemi w ciągu 20 dni. Pomoc finansowa dla ofiar zeszłorocznego huraganu Melissa była na Kubie 20 do 25 razy niższa niż ta, którą otrzymała Jamajka; liczba wolontariuszy była niższa 35 razy.

### Udupianie czy ludobójstwo

Nie sposób wymienić wszystkich dziedzin, w których totalna, nielegalna blokada Kuby wprowadzona przez pomarańczowego gangstera z demencją niszczy Kubańczyków i uniemożliwia im normalne życie. Kubańscy uczniowie nie mają podręczników, bo brak papieru, tuszu i prądu w drukarniach. (Warto w tym miejscu wspomnieć, że Kuba przeznacza 7 proc. PKB na edukację; Polska, dla porównania, 4,5 proc.). Książek nie mają też kubańscy niewidomi – bo na 20 urządzeń do drukowania książek w alfabecie Braille'a działają już tylko trzy. Kubańscy uczeni nie mogą brać udziału w wielu konferencjach międzynarodowych – bo nie dostają wiz, bo nie mają jak zapłacić za bilety i hotele, bo organizatorzy boją się ich zapraszać. Mogą jeszcze publikować w międzynarodowych pismach naukowych – ale nie mogą się tymi publikacjami pochwalić, bo wydawnictwa odmawiają dostarczania na Kubę egzemplarzy autorskich. Kubańscy sportowcy nie mogą brać udziału w różnego rodzaju międzynarodowych zawodach – bo w związku z wykluczeniem ze światowego systemu bankowego Kuba nie może zapłacić składki w Światowej Agencji Antydopingowej…

Wśród definicji ludobójstwa, zawartych w Konwencji ONZ w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa, znalazło się – na trzecim miejscu – „rozmyślne stworzenie dla członków grupy warunków życia, obliczonych na spowodowanie ich całkowitego lub częściowego zniszczenia fizycznego". Mike Waltz, ambasador USA przy ONZ, krąży po nowojorskim gmachu, organizuje spotkania po piwnicach i usiłuje znaleźć dyplomatów, których mógłby przekupić albo zastraszyć, żeby zagłosowali za ludobójstwem. Jak jest szansa, że nasz coraz bardziej prawacki rząd nie da się przekonać?

**AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA**

---

**Putin proponował sprzedaż aktywów i rafinerii rosyjskiego koncernu Łukoil. Posiada on nie tylko stacje paliwowe w amerykańskim stanie New Jersey, lecz także pola naftowe w Kamerunie oraz rafinerie w Holandii, Bułgarii i Rumunii produkujące olej napędowy i paliwo lotnicze.**

Według źródeł amerykańskiej gazety o przejęcie aktywów Łukoilu zabiega amerykański inwestor Todd Boehly, który wspomógł Trumpa kwotą 2 mln dol a także agencja rządowa Amerykańska Korporacja Finansowania Rozwoju Międzynarodowego. Jak twierdzą jej przedstawiciele, umowa z rosyjskim koncernem zwiększyłaby bezpieczeństwo energetyczne USA i obniżyła ceny energii dla Amerykanów. A przy okazji – choć o tym nie wspominają – przyniosłaby jej samej potężne profity. W grę mają też wchodzić dwa podmioty z Bliskiego Wschodu – katarski konglomerat mający powiązania biznesowe z Ivanką Trump i jej mężem, negocjatorem Jaredem Kushnerem, oraz fundusz inwestycyjny w Dubaju powiązany z kolei z innym funduszem, który wykupił znaczną część udziałów w kryptowalutowej spółce Trumpów World Liberty. O rozmowach w sprawie współpracy energetycznej z USA wspominał też na kilka dni przed decyzją Trumpa rzecznik rosyjskiego prezydenta Dmitrij Pieskow.

### Przeciwko nie tylko Ukraina

Ze zrozumiałych powodów przeciwna amerykańsko-rosyjskiemu układowi jest Ukraina. Pierwsza reakcja z jej strony nastąpiła już nazajutrz po ogłoszeniu przez Trumpa paliwowego porozumienia z Rosją. Wówczas ukraińska delegacja wyjechała z USA na dzień przed zakończeniem rozmów w Miami, w których brali udział przedstawiciele Stanów Zjednoczonych, Wielkiej, Brytanii, Francji, RFN, Komisji Europejskiej i NATO. W odwecie ze strony amerykańskiej padło ostrzeżenie, że Waszyngton może pozbawić Ukrainę dostępu do danych wywiadowczych – co też miało miejsce przez kilka dni.

W późniejszych dniach na temat dealu wypowiadał się prezydent Wołodymyr Zełenski. W niedzielę 18 października oświadczył, że „nie pomoże on ani nam, ani Stanom Zjednoczonym". Co do „nam" to pełna zgoda – jednak w odniesieniu do USA można polemizować. Zełenski wyraził ponadto nadzieję, że Trump zmieni decyzję. Jednocześnie dodał, że nadal uważa Trumpa za swojego sojusznika – i całą winą za zawarcie układu obarczył Putina. Jak się wyraził, Rosja odpłaci za to dalszym terrorem i perfidią.



Rys. MAURIZIO DI BONA

Ukraiński prezydent nie może sobie pozwolić na zbyt ostrą krytykę „przywódcy wolnego świata". Nie tylko ze względu na jego potężną władzę i pozycję międzynarodową, lecz przede wszystkim dlatego, że jest od niego mocno uzależniony – politycznie, finansowo, a przede wszystkim militarnie. Na więcej mogą sobie pozwolić państwa europejskie.

Duńska premier Mette Frederiksen ogłosiła, że decyzja Trumpa to „nieprzyjazny sygnał" wobec Ukrainy, co stawia Europę w ciężkim położeniu – nie precyzując, na czym ten ciężar miałby polegać.

Pani Frederiksen w relacjach z USA ma niewiele do stracenia po tym, jak stosunki między obu państwami znacznie oziębły w wyniku awantury o Grenlandię. Inni europejscy przywódcy są bardziej oględni. Nie krytykują wprost dieslowej umowy z Rosją, lecz koncentrują się na słownych atakach przeciwko Moskwie i wprowadzaniu kolejnych sankcji. Unia Europejska nałożyła na Rosję największy z dotychczasowych, 21. pakiet sankcyjny, obejmujący 1646 osób fizycznych i prawnych. Do tego dołączyła pozaunijna Wielka Brytania, sankcjonując podmioty związane z produkcją i eksportem rosyjskiej ropy naftowej.

Najbardziej jednak zajadła krytyka porozumienia z Rosją ma miejsce w samych Stanach Zjednoczonych. Siedmiu senatorów opublikowało wspólne oświadczenie, w którym domagają się anulowania wydanej przez resort finansów licencji na sprzedaż rosyjskiego paliwa. Uważają, że Trump naruszył ustawę z 2022 r. o zaprzestaniu importu rosyjskiej ropy. Powołując się na ten akt prawny, chcą, aby prezydent przedstawił Kongresowi pisemne uzasadnienie swojej decyzji. W skład wspomnianej siódemki wchodzi oprócz trzech demokratów czterech parlamentarzystów z Partii Republikańskiej. Tak w amerykańskiej mikroskali wygląda polityka ponad podziałami. Pod tym względem jednak Polska wyprzedza Amerykę, gdyż u nas ponadpartyjna polityka wobec Rosji jest wszechobecna. Poland First.

**BOLESŁAW K. JASZCZUK**



eprasa.pl 869a80e13e

# Pseudonobel

## Nagroda dla ekonomistów z belką w oku



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Uczelnianych filozofów w Prusach Arthur Schopenhauer – sam filozof, tylko krytyczny – nazwał swego czasu drewnianymi pajacykami. Pełnili oni bowiem służbę, która polegała na legitymizacji aktualnie istniejącego ustroju gospodarczego i politycznego. Zastąpili ich obecnie katedralni ekonomiści.

Ich dyscyplina miała stać się królową nauk społecznych. Podrasowała swój prestiż nibynagrodą Nobla. Ale to tylko marketingowy myk. Bo przyrodnicy otrzymują ją od akademii, a ekonomiści – od bankierów. To skutek tego, że również naukę wprzęgnięto bezpośrednio w służbę biznesowi.

Krajowe biurokracje zarządzające nauką i szkolnictwem wyższym (w Polsce takie myślenie realizowała reforma min. Gowina) zmierzają do tego, by ukierunkować badaczy i uniwersytety na tworzenie wiedzy, którą da się szybko utowarowić.

**Nauka ma przynosić zyski, jeśli nie z samych badań i wdrożeń, to chociaż z obrotu informacją naukową. W rezultacie stworzony w USA model uniwersytetu badawczego umożliwia przechwytywanie przez korporacje wiedzy finansowanej ze środków publicznych.**

Tak postąpił Steve Jobs, tworząc mały komputer z wynalazków, które powstały z pieniędzy podatników. To ani przedsiębiorcy, ani ekonomiści – tylko tania energia z węglowodorów i odkrycia Jamesa C. Maxwella i Heinricha Hertza umożliwiły powstanie, także dzięki inżynierom, elektroniki półprzewodnikowej (tranzystory, układy scalone, mikroprocesory). I to oni w istocie obdarzyli fortuną kalifornijskich doliniarzy – a nie mityczna doliniarska przedsiębiorczość.

### Niezrównany kapitalizm

Są trzy rodzaje ekonomistów: katedralni, bankowi i uprawiający refleksję zwaną ekonomią polityczną.

Ekonomiści katedralni to klasa akademickich sług. Podpowiadają oni biznesowi, jak osiągać zyski. Podtrzymują złudzenia o odwiecznej naturze konsumenta. Podobno jego potrzeby nigdy nie mogą być zaspokojone. Prywatna własność sprzęgnięta z przedsiębiorczością nawet piasek potrafi zamienić w złoto. Według katedralnej ekonomii kapitalizm odniósł historyczny sukces dzięki instytucjom, kontroli parlamentu nad królem, prawom własności, państwu prawa itd. O tym traktują nagrodzone dzieła „noblistów” – jak Daron Acemoğlu czy Joel Mokyr. Nawet ceniony za swoje studia o przyczynach zacofania Globalnego Południa Dani Rodrik pisze, że kapitalizm sam w sobie jest „niezrównany w uwalnianiu zbiorczej energii gospodarczej społeczeństw”. Pomińmy zatem w dziejach kapitalizmu grodzenia (*enclosure*), tanią pracę, tanie surowce, tanią ziemię ludów kolonizowanych, późnowiktoriański holokaust, czyli np. 30 mln Indusów zmarłych w wyniku reform angielskich kolonizatorów? Pomińmy też imperializm, handel niewolnikami, eksploatację peryferii i przyrody?

Jeśli biosfera i wspólnota ogólnoludzka ma przetrwać, nie może być ufundowana na dogmatach „zdroworozsądkowej” analizy, choć przybranej w efektowne zmatematyzowane modele. A także płynącej z niej doktryny wolnej przedsiębiorczości. Obie łącznie wyznaczają granice świata medialnego komentariatu, ekonomistów kierujących organizacjami *global governance* (WTO, Bank Światowy, MFW).

Co więcej, wielu noblowskich ekonomistów zarabia miliony dolarów na książkach i wystąpieniach publicznych. Nic w tym dziwnego, skoro według Johna Kennetha Galbraitha (też bez nagrody!) „teorie ekonomiczne rzeczywiście nadają polityce kierunek, ale są również dziećmi polityki i interesów, którym ona służy”.

Z kolei bankowi ekonomiści to główny trzon tzw. klasy średniej, a właściwie elity kompradorów każdej peryferii, w tym polskiej. To klasa menedżerska, która obsługuje krajowy i zagraniczny kapitał: menedżerowie filii międzynarodowych korporacji, operatorzy i dilerzy machiny kapitału portfelowego – jak nasz obecny minister finansów. To także dyżurni ekonomiści kraju mający za przewodników i patronów Smitha i von Hayeka. Oni wskazują drogę politykom bogatego Zachodu, skutecznie blokującym rolę państwa w sferze nadzorczej i regulacyjnej wobec własnego i zagranicznego biznesu. W Polsce dotyczy to tak Nawrockiego, jak i Tuska, tak Petru, jak konfiarzy. Nie dziwota zatem, że niewidzialna ręka rynku łatwiej trafia do kieszeni pracującego podatnika.

### Ekoekonomia kontra PKB

Ekonomiści polityczni z kolei łączyli wiedzę o mechanizmach funkcjonowania gospodarki z próbą ich korekty, przebudowy w interesie klas podporządkowanych, eksploatowanych. Najpierw ekonomiści klasyczni, jak Adam Smith, torowali drogę burżuazji. Kolejni badali społeczeństwo, by je zreformować: Karol Marks, Róża Luksemburg, Thorstein Veblen, Samir Amin, do pewnego stopnia Thomas Piketty, w Polsce Michał Kalecki, Oskar Lange czy socjolodzy gospodarki Stanisław Kozyr-Kowalski i Jacek Tittenbrun. Tutaj mamy do czynienia z analizą, która spójnie łączy i przyrodę, i gospodarkę; państwo i demokrację; ideologię i kulturę.

W tej sytuacji nie dziwi, że nagrody od szwedzkich bankierów nie otrzymał zmarły w 1985 r. rekonstruktor procesu powstawania od XIV w. kapitalistycznej gospodarki, wielki francuski historyk Fernand Braudel. Albo zmarły w 2019 r. amerykański historyk, socjolog i ekonomista Immanuel Wallerstein – autor czterotomowej syntezy powstania i ewolucji systemu światowego.

Co charakterystyczne, uznania w oczach szwedzkich bankierów nie znaleźli też twórcy najważniejszej obecnie refleksji nad gospodarką – ekonomii ekologicznej. To m.in.: Nicolas Georgescu-Roegen, Herman Daly czy Vaclav Smil.

Przecież najważniejsze obecnie są relacje między biosferą, globalnym ekosystemem a społeczeństwem. Relacje te są zawiązywane za pomocą działań gospodarczych. A te, zdaniem fizyka Roberta Ayersa, to „zasadniczo system pozyskiwania, przetwarzania i przemiany energii w formie surowców w energię zawartą w towarach i usługach”. Z przyrody płyną minerały i energia, gospodarka odpłaca się emisją gazów, odpadów, stepowieniem ziem i wycinką lasów. To ekonomiści ekologiczni uświadomili wszystkim – z wyjątkiem nagradzanych tzw. Noblem – co oznacza nieodwracalna utrata zasobów nieodnawialnych (minerałów, ropy naftowej, gazu); to entropia, energia bezużytecznie przekształcana w ciepło jak w silniku spalinowym. Stąd nieszczelność syntetycznego miernika aktywności gospodarczej, jakim jest PKB. W wyniku jego stosowania można zostać nawet 20. gospodarką świata! „Popularna ekonomia jest więc »nauką«, której krótkowzroczność graniczy niekiedy ze ślepotą” – pisze szwajcarski badacz Gilbert Rist w książce „Urojenia ekonomii”.

### Czas na nową naukę

Dlatego potrzebny jest nowy projekt nauki o gospodarce. Badacze społeczeństwa – m.in. socjolodzy, krytyczni ekonomiści, politolodzy, antropolodzy – powinni stworzyć nową ekonomię społeczno-polityczną. Byłaby ona podporządkowana nie maksymalizacji użyteczności, lecz harmonizacji celów społecznych.

To projekt, do którego realizacji namawiają m.in. ekonomista Thomas Piketty, socjolog Wolfgang Streeck czy socjobiolog Edward O. Wilson. Dopiero wówczas można zrozumieć i wyjaśnić aktualne tendencje i kontrtendencje kształtujące dynamikę cywilizacji kapitalizmu.

Ale jest to tylko kontynuacja nurtu badawczego jeszcze z połowy XIX w. Dla Johna Stuarta Milla, Auguste’a Comte’a i Karola Marksa „gospodarka” to były tylko abstrakcyjnie ujęte sposoby, za pomocą których społeczeństwa organizują produkcję i dystrybucję dóbr. „Modele ekonomiczne, rzekomo reprezentujące jakąkolwiek realną sytuację, muszą pozostać niedookreślone, ponieważ na wszelkie realia składają się czynniki społeczne, historyczne i kulturowe, nie tylko gospodarcze”, pisze angielski ekonomista Jan Toporowski w swojej monografii o Michale Kaleckim. Dlatego nie ma żadnych powszechnych, „naturalnych” praw ekonomii, które by mogły abstrahować od społeczeństwa jako całości. Dana gospodarka jest przecież tylko częścią tej całości. Prawo popytu i podaży – dumę ekonomistów – już dawno temu wyśmiewał Émile Durkheim jako zdroworozsądkowe „rady mądrości praktycznej”; w sumie banał.

**TADEUSZ KLEMENTEWICZ**

# Życie W DOBROBYCIE

● Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów udowodnił właśnie, że jak państwowa instytucja chce, to potrafi dobrać się nawet do banków. I to nie byle jak, bo czterem instytucjom finansowym przywalił kary w łącznej wysokości 147,1 mln zł. Powodem było takie konstruowanie umów, żeby bank mógł zmieniać ich warunki, podnosić opłaty i prowizje, a klient mógł co najwyżej sprawdzić, ile mu z konta ubyło. Najciekawsze jest jednak to, że według zakwestionowanych przez UOKiK zasad wystarczył wzrost inflacji o zaledwie 0,3 punktu procentowego albo przeciętnego wynagrodzenia o 1 proc., żeby pojawiła się możliwość podniesienia niektórych opłat nawet o 200 proc. W efekcie Erste Bank Polska ma zapłacić 80,68 mln zł, ING Bank Śląski 63,26 mln zł, Bank Pocztowy 2,71 mln zł, a Plus Bank 453 tys. zł. Pieniądze z kar, jeśli decyzje się uprawomocnią, trafią do państwa, a nie do poszkodowanych klientów. Wszystkie cztery banki otrzymały po dwie kary. Jedną za niedozwolone postanowienia dotyczące zmieniania warunków umów, drugą za zapisy odnoszące się do opłat i prowizji. Nie podano, ilu klientów dotyczyły zakwestionowane postanowienia, jak długo obowiązywały ani jakie kwoty banki rzeczywiście pobrały na ich podstawie. A przecież właśnie te informacje pozwoliłyby ocenić, jak wielkie znaczenie mają decyzje UOKiK dla zwykłych ludzi. Sankcje nałożono na banki, a nie na ludzi, którzy nimi zarządzają. To zaś oznacza, że kary nie obciążą prywatnych rachunków prezesów, wiceprezesów czy dyrektorów. A przecież bank sam nie pisze regulaminów. Ktoś przygotowuje projekty umów, ktoś je sprawdza, ktoś zatwierdza, a ktoś podejmuje decyzję o wprowadzeniu ich do stosowania.

● Miała być rewolucja na polskim rynku pracy. Zamiast pięciu dni harówki po osiem godzin Polacy mieli pracować krócej, odpoczywać dłużej i zarabiać tyle samo. Gdy Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej ogłaszało pilotaż skróconego czasu pracy, było wielkie halo. Opowiadano o historycznej zmianie, media rozpisywały się o czterodniowym tygodniu pracy, a eksperci zastanawiali się, czy polska gospodarka wytrzyma, gdy ludzie będą mniej pracować, ale nie mniej zarabiać. Potem zrobiło się cicho. Wprowadzenie 35-godzinnego tygodnia pracy należało do przedwyborczych zapowiedzi Lewicy. Pomysł był prosty: zamiast obowiązujących przeciętnie 40 godzin pracy tygodniowo zatrudnieni mieliby spędzać w robocie 35 godzin. Czyli o pięć godzin mniej, a w przeliczeniu na cały rok – prawie 21 ośmiogodzinnych dniówek. W pilotażu wzięło udział 90 firm i instytucji zatrudniających łącznie około 50 tys. osób. Poszło na to 50 mln zł z Funduszu Pracy – średnio ponad 555 tys. zł na firmę lub instytucję. Przy 50 tys. zatrudnionych wyjdzie po 1000 zł na osobę. Pilotaż zakończy się z końcem roku, ale nie ma mowy o ustawowym wprowadzeniu skróconego czasu pracy w całej Polsce. Co więcej, w projekcie budżetu na 2027 r. nie przewidziano pieniędzy na przedłużenie programu. Ministra Dziemianowicz-Bąk zapewnia wprawdzie, że pierwsze wyniki są bardzo obiecujące zarówno dla pracowników, jak i pracodawców, ale konkretnych liczb nie przedstawia. Zapowiada za to, że kompleksowe podsumowanie programu będzie gotowe w pierwszych miesiącach 2027 r. Dopiero na tej podstawie przygotowane zostaną rekomendacje. Trudno oczywiście mieć pretensje o to, że całoroczny pilotaż zostanie podsumowany dopiero po jego zakończeniu. Rzecz w tym, że między przedwyborczą zapowiedzią 35-godzinnego tygodnia pracy a informacją o przyszłych rekomendacjach istnieje dość zasadnicza różnica. Pierwsza dotyczy konkretnej zmiany, którą zatrudniony może odczuć na własnej skórze. Druga dotyczy dokumentu, z którego być może kiedyś coś wyniknie. Pozostaje więc pytanie, czy w całym przedsięwzięciu chodziło o rzeczywistą zmianę, czy o możliwość opowiadania, że taka zmiana właśnie nadchodzi.

● Polacy przestają pić. W 2025 r. abstynentów przybywało szybciej niż u nas tylko w dwóch państwach Unii. Codzienne picie deklaruje ledwie 0,5 proc. Polaków, niecałe 3 proc. pije raz w tygodniu, 17 proc. – raz w miesiącu, 44,6 proc. – sporadycznie, a 35 proc. – wcale. Dla porównania: codziennie pije 5 proc. mieszkańców UE, czyli 10 razy więcej niż u nas. Razem z Polakami od alkoholu odzwyczaja się fiskus. Na koniec czerwca państwo dostało z podatku od wyrobów spirytusowych 3,9 mld zł, podczas gdy rok wcześniej miało 4,5 mld zł. Wyparowało więc 600 mln zł, czyli ponad 13 proc. wpływów. Jeszcze zabawniej wygląda wykonanie całorocznego planu, bo w połowie roku zrealizowano go ledwie w 31 proc. I tu zaczyna się to, przed czym przestrzegaliśmy w „NIE”. Zniknięcie butelki z legalnej sprzedaży nie oznacza automatycznie, że jej niedoszły nabywca został abstynentem. Część konsumentów może po prostu przerzucić się na gorzałę przemyconą, nielegalnie wyprodukowaną albo uzyskaną z alkoholu przeznaczonego pierwotnie do innych celów. Nie da się stwierdzić, jaka część spadku oficjalnej sprzedaży wynika z takiej migracji i że całe brakujące 600 mln zł zostało przepite w szarej strefie. Ministerstwo Finansów oszacowało szarą strefę związaną z nielegalnym wprowadzaniem na rynek wyrobów zawierających skażony alkohol etylowy na około 3 mln litrów. Przy akcyzie obowiązującej w 2025 r. oznaczało to około 240 mln zł podatku, którego państwo nie zobaczyło. Państwo podnosi zatem podatek od legalnej flaszki, zwiększając różnicę cenową między nią a flaszką nielegalną, po czym martwi się, że legalnych flaszek sprzedaje się mniej.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

● Przedsiębiorczość to takie trudne słowo oznaczające mniej więcej tyle, że człowiek zamiast czekać, aż ktoś da mu robotę, sam wymyśla sobie zajęcie, szuka klientów i płaci podatki. Albo plajtuje. Przez całe lata Polakom wmawiano, że właśnie w tym jesteśmy znakomici. To już przeszłość, bo zaledwie 3 proc. dorosłych Polaków deklaruje zamiar założenia firmy w ciągu najbliższych trzech lat. Średnia europejska wynosi 14 proc. Daje nam to ostatnie miejsce wśród europejskich gospodarek. Aż 53 proc. dorosłych Polaków twierdzi, że ma wiedzę potrzebną do rozpoczęcia działalności, a 77 proc. uważa, że założenie firmy jest łatwe. Mamy więc kraj, w którym ponad połowa ludzi uważa, że potrafiłaby prowadzić biznes, ponad trzy czwarte sądzi, że łatwo go rozpocząć, ale zrobić to chce 3 proc. Badacze zjawiska za młodą firmę uznają przedsięwzięcie działające nie dłużej niż 3,5 roku. Takie biznesy prowadzi u nas ledwie 2,9 proc. dorosłych, podczas gdy europejska średnia wynosi 10,3 proc. Zapytano więc dlaczego. Wyszło, że jedną z głównych przeszkód jest strach przed porażką. W Polsce aż 49 proc. osób dostrzegających możliwości biznesowe nie rozpoczyna działalności właśnie dlatego, że boi się niepowodzenia. Europejska średnia wynosi 46 proc. A na dodatek aż 75 proc. osób prowadzących młode firmy wskazuje jako powód rozpoczęcia działalności potrzebę zapewnienia sobie utrzymania z powodu zbyt małej liczby ofert pracy. Jeśli nie jest to statystyczny portret zgaszonego ducha przedsiębiorczości, to trudno wymyślić, co jeszcze należałoby zbadać.

● Prowadzenie państwowego szpitala musi być jednym z fajniejszych biznesów w Polsce. Nie trzeba mieć własnego kapitału, nie trzeba ryzykować chałupą ani martwić się tym, że koszty są wyższe od przychodów. GUS policzył, że w pierwszej połowie 2026 r. na 339 działających w Polsce szpitali 165 przynosiło straty. Zdołały w tym czasie zrobić 1 mld 36 mln zł straty netto. Pozostałe 174 coś zarobiły, więc po zsumowaniu wszystkiego zrobiło się z tego 452 mln zł na minusie. Szpitale dostały jednak w tym czasie 405 mln zł dotacji, głównie od samorządów i państwa. Gdyby ich nie dostały, strata wyniosłaby 857 mln zł. Szpitale miały 18 mld zł przychodów, a ich koszty operacyjne wyniosły 18,7 mld zł. Największą pozycją były świadczenia pracownicze, które pochłonęły 7,6 mld zł. Kolejne 6,5 mld zł poszło na usługi obce, 3,3 mld zł – na materiały, 340 mln zł – na energię, a 269 mln zł – na kredyty, pożyczki i inne koszty finansowe. W usługach obcych znalazło się 3,1 mld zł wydanych na podwykonawstwo, pod którym kryją się między innymi lekarze i pielęgniarki prowadzący jednoosobowe firmy i pracujący dla szpitali na kontraktach. Lekarz na etacie jest zatem świadczeniem pracowniczym, a ten sam lekarz prowadzący działalność gospodarczą staje się usługą obcą. Ale skoro jeden publiczny szpital bez dotacji zarabia 81 mln zł, drugi 50,5 mln zł, prywatny około 48 mln zł, a inny publiczny tonie w setkach milionów strat, to nie wszystko da się wyjaśnić magicznym słowem „niedofinansowanie”. Bo gdyby winne były wyłącznie stawki NFZ, wszyscy tonęliby mniej więcej tak samo.

**TTJ**



eprasa.pl 869a80e13e

## Skoro gospodarka kwitnie jak piwonie na gnoju, to czemu państwo znowu chce oszczędzać na najsłabszych?

# Odchudzanie wsparcia



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Środowiska zrzeszające osoby z niepełnosprawnościami apelują do rządu o pilne zwiększenie limitu wydatków Funduszu Solidarnościowego, ostrzegając, że tysiące rodzin stracą dostęp do realnego wsparcia. Chodzi przede wszystkim o asystencję osobistą i opiekę wytchnieniową.

### Fundusz resztkowy

Fundusz Solidarnościowy powstał, aby służyć kompleksowemu wsparciu osób z niepełnosprawnościami i jednocześnie zwiększać komfort życia tej grupy społecznej. Ze środków FS realizowany jest szereg programów Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, a także m.in. świadczenia uzupełniające i renty socjalne (wraz z zasiłkami pogrzebowymi).

Ta ostatnia grupa to wydatki prawnie zdeterminowane przez ustawy – co oznacza, że dysponent musi je zrealizować, nie mając swobody w kształtowaniu ich wysokości. Krótko mówiąc, są obowiązkowe i nie do zmodyfikowania. Choć obciążenia z tego właśnie tytułu systematycznie rosną, ze świeżego projektu ustawy budżetowej wynika, że limit wydatków FS w 2027 r. ma pozostać na poziomie nie wyższym niż w 2026 r. Oznacza to, że wraz ze wzrostem wydatków obowiązkowych pozostanie mniej kasy na programy wspierające niezależne życie niepełnosprawnych i ich rodzin.

Wskutek tego pula na programy resortowe – opiekę wytchnieniową i asystencję osobistą – skurczy się o 487 mln zł. To aż 24 proc. całej kwoty. Z wyliczeń wynika, że środków zabraknie dla ok. 14 tys. osób korzystających ze wsparcia asystencji osobistej i blisko 20 tys. odbiorców programu opieki wytchnieniowej.

Propozycja budżetu kolejny raz traktuje inwestycję w usługi społeczne jako stratę. To wielki błąd.

### Koszty zaniechania

Z przeprowadzanego w 2025 r. przez Główny Urząd Statystyczny Badania Aktywności Ekonomicznej Ludności (BAEL) wynika, że ponad 750 tys. Polaków w wieku produkcyjnym nie pracuje, ponieważ sprawuje nad kimś opiekę. Nie chodzi tylko o dzieci, ale też o seniorów, osoby z niepełnosprawnościami czy przewlekle chorych.

Polki i Polacy dwa razy częściej niż średnia UE rezygnują z pracy, by się kimś opiekować. Prym wiodą kobiety, które stanowią w tej grupie aż 60 proc.

Dzięki wsparciu profesjonalnego asystenta członkowie rodzin pełniący opiekę oraz sami niepełnosprawni mogą podjąć pracę zarobkową. Przy aktywizacji zaledwie 30 proc. opiekunów i 10 proc. ich podopiecznych polski rynek zyskałby nawet do 1,5 mln osób pracujących na pół etatu. To zastrzyk wartości 40–80 mld zł rocznie dla PKB.

W połowie września br. sejm przyjął ustawę o asystencji osobistej. Izba wyższa przyklepała ją i wprowadziła 35 poprawek. Glejt za chwilę wróci do sejmu. Zgodnie z obecnym kształtem przepisów proces wdrażania systemu będzie odłożony w czasie, aby samorządy mogły się przygotować do świadczenia usług. Ustawa zakłada, że asystencja stanie się stałym zadaniem systemowym, dlatego jej głównym filarem finansowym będą dotacje celowe bezpośrednio z budżetu. Faktyczne świadczenie usług asystenckich rozpocznie się po 16 miesiącach od ogłoszenia ustawy. To kupa czasu z przewagą kupy.

W ramach obecnego resortowego programu finansowanego z Funduszu Solidarnościowego, z usług asystenta korzysta w skali kraju blisko 45 tys. osób. Eksperci i organizacje pozarządowe od lat alarmują, że obecna liczba beneficjentów zaspokaja zaledwie ułamek rzeczywistego zapotrzebowania społecznego.

**Teraz okazuje się, że połowa szczęśliwców, którym się udało zdobyć asystenta, zostanie w przyszłym roku pozbawiona pomocy. Oznacza to przymus rezygnacji z pracy zarówno przez opiekunów, jak i niepełnosprawnych.**

Na dokładkę pozbawi zatrudnienia samych asystentów.

W trybie corocznych naborów wniosków działa opieka wytchnieniowa. Krajowa Rada Konsultacyjna ds. Osób Niepełnosprawnych regularnie alarmuje, że pule finansowe na kolejne lata są niewystarczające względem realnego zapotrzebowania na takie usługi. Z racji ograniczonych środków samorządy nakładają drastyczne limity, co w żaden sposób nie pozwala opiekunom na realny odpoczynek, podreperowanie zdrowia czy podjęcie pracy. Gdy zabraknie sił i wsparcia w domu, rośnie ryzyko przymusowej przeprowadzki do DPS. Ściągalność opłat za pobyt w placówkach w Polsce wynosi 8 proc. Oszczędność w jednej tabeli może oznaczać znacznie większe koszty w drugiej…

Kluczem do rozwiązania przynajmniej części kryzysu opieki wytchnieniowej może być właśnie asystencja osobista. Tylko co z tego, skoro przez najbliższe miesiące będą się żywić z tego samego kiepsko zaopatrzonego paśnika?

Ministerstwo Finansów potraktowało projekty MRPiPS na rok 2027 jako etap przejściowy i zamroziło finansowanie programów do czasu wdrożenia pełnej reformy. Ludzi zamrozić do tego czasu się nie da.

### Zielone światło i czerwona kartka

Krajowa Rada Konsultacyjna ds. Osób Niepełnosprawnych postuluje zwiększenie limitu wydatków Funduszu Solidarnościowego na przyszły rok łącznie o 538 mln zł.

328 mln zł miałoby trafić na program asystencji osobistej, 210 mln zł na opiekę wytchnieniową. Jednocześnie Rada apeluje, żeby dosypanie pieniędzy w jednym elemencie systemu nie było kompensowane ograniczeniem finansowym w innym… Zachęca też do poszukiwania nowych źródeł przychodu Funduszu Solidarnościowego.

Jest szansa na realizację tych postulatów. Ustawą budżetową zajmuje się sejmowa Komisja Finansów Publicznych, która prowadzi prace nad całością projektu i przygotowuje sprawozdanie dla sejmu. Projekt budżetu na 2027 r. jest już na etapie prac komisji. Jego poszczególne części rozpatrują również komisje branżowe. W sprawie Funduszu Solidarnościowego oraz wspomnianych programów właściwa jest Komisja Polityki Społecznej i Rodziny, która opiniuje część „Zabezpieczenie społeczne”, w tym plan finansowy Funduszu. To ostatni dzwonek na negocjacje z Ministerstwem Finansów.

Rządzącym przypominamy, że rodzina nie może być bezterminową rezerwą kadrową państwa, a rok wyborczy nie zna litości.

**IDALIA DUBICKA**

# Przetarg na umywanie rąk

## W asystowaniu niepełnosprawnym najbardziej zawadzają niepełnosprawni

Jestem osobą z niepełnosprawnością. Bywałem na wózku, a dziś również potrzebuję pomocy przy wielu zwyczajnych czynnościach. Wiem więc, że asysta na lotnisku nie jest dodatkową uprzejmością ani miłym gestem wobec pasażera. To chwila, w której oddaje się obcej osobie kontrolę nad własnym ciałem. Trzeba zaufać, że wie, gdzie chwycić, jak podnieść i czego pod żadnym pozorem nie robić.

Małgorzata Rupar, 65-letnia kobieta chorująca na dystrofię mięśni, też musiała zaufać. Na warszawskim Lotnisku Chopina asystent miał przenieść ją z jej wózka na wąski wózek pokładowy. Upuścił ją. Pracownica lotniska stwierdziła początkowo, że zapewne puścił szew w kurtce. „A to była moja ręka” – opowiadała później Rupar. Okazało się, że doznała złamania. Jej podróż z mężem na Fuerteventurę zakończyła się, zanim samolot wystartował. Sprawę opisała „Gazeta Wyborcza”.

### Poradnik, przetarg, propaganda

Polskie Porty Lotnicze wyjaśniły następnie, że asystenci nie są jego pracownikami, a zarządzający lotniskiem nie nadzoruje bezpośrednio ich działań. Usługę wykonuje wyspecjalizowany agent obsługi naziemnej. Na Okęciu tym agentem jest Welcome Airport Services, którego specjalnie przeszkoleni ponoć pracownicy zapewniają asystę pasażerom PRM, czyli osobom z niepełnosprawnościami i ograniczoną sprawnością ruchową.

Welcome należy w 100 proc. do PPL.

Państwowa spółka ma zatem lotnisko i firmę zapewniającą asystę. Kiedy jednak podczas asysty pasażerka zostaje upuszczona i łamie rękę, PPL informują, że człowiek, który ją upuścił, nie był ich pracownikiem. Spółka matka wskazuje na córkę, córka może wskazać na asystenta, a kobieta ze złamaną ręką ma sama odnaleźć odpowiedzialność w strukturze grupy kapitałowej.

Prezesem zarządu Welcome Airport Services jest Piotr Okienczyc. To zarząd odpowiada za organizację pracy, zatrudnienie, szkolenia, sprzęt, procedury, nadzór oraz reakcję na wypadek. Asystent odpowiada za wykonany chwyt, ale prezes za system, w którym ten chwyt wykonywano. Inaczej funkcja prezesa sprowadzałaby się do przyjmowania gratulacji za sukcesy i wskazywania szeregowego pracownika przy każdej porażce. Jeżeli Welcome chwali się wynikami, rozwojem i wysoką jakością obsługi, zasługi przypisuje zarządowi. Nie ma powodu, aby odpowiedzialność za złamaną rękę kończyła się kilka szczebli niżej.

Europejskie przepisy są zresztą pod tym względem dość czytelne. Artykuł 8 rozporządzenia nr 1107/2006 Parlamentu Europejskiego powierza organowi zarządzającemu lotniskiem odpowiedzialność za zapewnienie pomocy osobom z niepełnosprawnościami i osobom o ograniczonej sprawności ruchowej. Zarządzający może udzielać jej sam albo zawrzeć umowę z innym podmiotem. Może wynająć cudze ręce, ale nie może wynająć cudzej odpowiedzialności.

Miesiąc po opisaniu wypadku PPL ogłosiły przetarg na obsługę pasażerów PRM na Okęciu w latach 2027–2028. Dwa tygodnie później zapowiedziało przygotowanie poradnika dostępności. Towarzyszyło temu hasło: „Jedna podróż. Wiele doświadczeń. Wspólna odpowiedzialność”.

Hasło jest znakomite. Problem w tym, że PPL zdążyły wcześniej wyjaśnić, iż odpowiedzialność jest wspólna przede wszystkim wtedy, gdy trzeba ją rozmyć.

Poradnik ma powstawać we współpracy z osobami z niepełnosprawnościami. Pierwszym etapem jest skierowana do nich ankieta, w której pasażerowie mogą opisać swoje doświadczenia, potrzeby i napotykane bariery. Kolejnym będą spacery badawcze po całej trasie podróżnego – od przyjazdu na lotnisko do wejścia na pokład, a po przylocie – aż do odbioru bagażu i wyjścia z terminala. Podczas wywiadów i obserwacji mają zostać zebrane historie pasażerów, opinie personelu oraz doświadczenia osób zajmujących się obsługą podróżnych. PPL chcą też wykorzystać dane operacyjne, wiedzę ekspertów i organizacji społecznych.

Poradnik może być potrzebny. Sam chętnie przeczytam, gdzie mam się zgłosić, ile wcześniej przyjechać i jak powinna wyglądać asysta. Wypadek Małgorzaty Rupar nie był jednak skutkiem braku poradnika dla pasażerki. To nie ona nie wiedziała, jak prawidłowo wykonać transfer. Zawiódł człowiek, procedura, szkolenie albo nadzór. Być może wszystko naraz.

### Dobrze, bo tanio

Lotnisko przypomina przy tej okazji, że w 2015 r. jako pierwszy port lotniczy i obiekt komunikacyjny w Polsce otrzymało certyfikat „Obiekt bez barier”, a następnie przechodziło kolejne audyty recertyfikacyjne. Dokumentacja nowego przetargu pokazuje skalę zadania. Według danych przekazanych przez PPL liczba asyst na Lotnisku Chopina wzrosła z 87 576 w 2022 r. do 135 384 w roku 2025, czyli o niemal 55 proc.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Przyszły wykonawca ma skierować do realizacji usługi co najmniej 110 osób oraz zapewnić między innymi pięć ambuliftów – specjalnych pojazdów z podnoszoną kabiną – i 115 standardowych wózków.

**Mimo to w ocenie ofert cena odpowiada za 80 proc. punktów. Ilość oferowanego sprzętu daje 10 proc., a liczba pracowników do jego obsługi – następne 10 proc.**

W dokumentacji dokładnie opisano nawet wygląd agentów. Mają być schludni, kulturalni i mieć „świeży wygląd również w odniesieniu do ubioru”. Nie wolno im komentować ani pytać pasażera o jego opinię na temat działań innych podmiotów lub PPL.

Początkowo od wykonawców wymagano również posiadania certyfikatu AHAC. Warunek zaskarżyła do Krajowej Izby Odwoławczej spółka Menzies Aviation. Argumentowała, że wskazane przez PPL kategorie certyfikatu odnoszą się między innymi do obsługi materiałów niebezpiecznych i zaopatrywania samolotów w paliwo, a nie do pomocy pasażerom z ograniczoną sprawnością ruchową. PPL nie czekało na rozstrzygnięcie izby i 8 września usunęło wymóg ze specyfikacji.

Najbardziej znamienny zapis znajduje się w projekcie umowy. PPL przyznaje sobie możliwość jej wypowiedzenia, jeżeli powtarzać się będą skargi pasażerów na obsługę PRM – co zdefiniowano jako więcej niż 10 skarg miesięcznie. Niech się Menzies Aviation zastanowi nad sensem startu.

Projekt przewiduje również, że wykonawca będzie musiał pokrywać koszty i zobowiązania obciążające PPL z powodu opóźnień, zakłóceń i roszczeń pasażerów związanych z obsługą PRM.

Piotr Okienczyc mówił w jednym z wywiadów, że obsługa PRM jest przykładem usługi, której nie da się w pełni zautomatyzować, ponieważ obecność człowieka pozostaje niezbędna. Zapewniał również, że bezpieczeństwo i jakość zawsze będą dla Welcome priorytetem, dlatego oszczędności nigdy nie mogą ich obniżać.

Rozsądne słowa. Warto je skonfrontować z kobietą, która po skorzystaniu z obsługi kierowanej przez niego firmy opuściła lotnisko ze złamaną ręką, oraz z przetargiem, w którym cena daje 80 proc. punktów.

### Prezes przechodni

Okienczyc ma już zresztą doświadczenie w zarządzaniu lotniczym bezpieczeństwem. Od 2006 r. kierował Mazowieckim Portem Lotniczym Warszawa Modlin. Funkcję prezesa pełnił do sierpnia 2016 r., kiedy przeszedł na stanowisko wiceprezesa ds. operacyjnych. To podczas jego prezesury lotnisko rozpoczęło działalność, a po kilku miesiącach na betonowych progach pasa startowego pojawiły się odpryski. Port został wyłączony z komercyjnej eksploatacji na prawie sześć miesięcy.

Najwyższa Izba Kontroli stwierdziła, że spółka nie zapewniła skutecznego nadzoru nad inwestycją i nie podjęła wystarczających działań, które mogły ograniczyć ryzyko powstania usterki pasa. W załączniku do raportu, w rubryce „osoby odpowiedzialne za kontrolowaną działalność”, wymieniono Piotra Okienczyca jako prezesa zarządu.

Według danych samego lotniska jego zamknięcie spowodowało straty w wysokości 34,38 mln zł. Po wieloletnim sporze Erbud, wykonawca części lotniczej portu, zobowiązał się w ugodzie z 2023 r. zapłacić lotnisku około 21,7 mln zł.

Prokuratura, oczywiście, sprawę umorzyła. Odpowiedzialność karna nie jest jednak tym samym co odpowiedzialność menedżerska. Okienczyc nie wylewał osobiście pasa w Modlinie, podobnie jak nie podnosił osobiście Małgorzaty Rupar. W obu przypadkach stał jednak na czele spółki odpowiedzialnej za działanie systemu, który zawiódł.

W chwili pisania tego tekstu nie wiadomo jeszcze, czy Welcome będzie ubiegać się o następny kontrakt – termin składania ofert w nowym przetargu PPL upływa 18 września. Wiadomo natomiast, że zanim firma stanie do walki o kolejne publiczne zlecenie, powinna odpowiedzieć na kilka prostych pytań.

Dlaczego podczas jej usługi upuszczono pasażerkę? Jakie błędy popełniono? Jakie wyciągnięto wnioski? Co zmieniono w szkoleniach, procedurach i nadzorze? Kto poniósł odpowiedzialność? Oraz jak tam zdrówko, panie prezesie?

**DAMIAN DUSZCZENKO**



eprasa.pl 869a80e13e

# Zdziczenie samorządowe

## Byki do obory, psy do kojców, dziki do krematorium

Z początkiem października 45-letni mężczyzna pomagał znajomym na gospodarce w gminie Boguty-Pianki na Mazowszu. Wszedł na ogrodzony wybieg, gdzie łaziły sobie byki. Zwierzęta potraktowały gościa jak matadora, ruszyły nań. Gospodarz, widząc, co się dzieje, rzucił się na ratunek. Zdołał wyciągnąć poturbowanego mężczyznę poza ogrodzenie, ale sam oberwał tak, że trafił do szpitala. 45-latkowi pogotowie nie mogło już pomóc. Sekcja zwłok – co nie dziwota – wykazała, że przyczyną śmierci były obrażenia głowy. Zagadką pozostało, czy spowodował je jeden byk, czy kilka. Prokuratura prowadzi postępowanie nie w celu ustalenia rogatego sprawcy, ale w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci, sprawdzając, czy właściciel stada aby nie dopuścił się zaniedbań.

### Corrida

Miesiąc wcześniej w Sarbi pod Wągrowcem 61-letni rolnik robił to, co zazwyczaj robi się w oborze. Tym razem jednak nie spodobało się to jego własnym bykom, które przewróciły go i stratowały. Kiedy człowieka znaleziono, nie dawał już najmniejszych oznak życia. Ale wezwano ratowników i nawet śmigłowiec LPR. Tylko po to, aby lekarz stwierdził zgon rolnika. Policjanci pod nadzorem prokuratora zabezpieczyli ślady, a ciało skierowano na sekcję. Podobnie było na posesji 57-letniej kobiety z woj. świętokrzyskiego, którą również w jej własnej oborze zaatakował i zabił byk.

Trzy przypadki śmiertelnych ataków bydła i jakoś nikt nie zwołał sejmiku wojewódzkiego, żeby uchwalić eksterminację byków. Bo przecież byk jest zwierzęciem hodowlanym, a jego zabicie, zanim osiągnie odpowiednią wartość rzeźną, byłoby ekonomicznym absurdem.

Co innego dzik. Ten nie ma właściciela, który straciłby na jego śmierci. Nie produkuje mleka, nie przynosi gospodarzowi dochodu. Za to potrafi wejść między bloki, przewrócić śmietnik, rozryć trawnik i przestraszyć spacerowicza. A skoro tak, to Sejmik Województwa Mazowieckiego uchwalił przepisy umożliwiające przez dwa lata ograniczanie populacji warszawskich dzików poprzez odłów połączony z uśmiercaniem albo odstrzał redukcyjny. Nie określił przy tym maksymalnej liczby zwierząt, które mogą zostać zabite. Wszystko oczywiście w trosce o mieszkańców stolicy, których żaden warszawski dzik nigdy nie zabił.

I właśnie w tym tkwi urok polskiej polityki ochrony zwierząt. Gdy byk zabija człowieka, państwo bada okoliczności wypadku. Gdy pies zagryza człowieka, prokurator szuka odpowiedzialnego właściciela. Gdy dzik nie zabija nikogo, samorządowcy szukają sposobu na zabicie dzika.

### Mandat za Burka

Z psami jest jeszcze ciekawiej. Bo przecież pies to najlepszy przyjaciel człowieka. Przyjaciel może czasem zachować się nieprzyjaźnie, ale nie przestaje przez to być przyjacielem. Co najwyżej jego właściciel może trafić przed sąd.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

W grudniu w Krośnie Odrzańskim pies określany jako amstaff zaatakował mężczyznę. Pogryzł go tak dotkliwie, że mężczyzna wprawdzie przeżył atak, ale zmarł następnego dnia. Prokuratura ustaliła, że zwierzę już wcześniej zachowywało się agresywnie, a na dodatek przez długi czas cierpiało na poważną nieleczoną chorobę. Nie zapewniono mu właściwej opieki, mimo to dopuszczano do przebywania w towarzystwie innych ludzi.

Prokuratura skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko dwóm panom. Jednemu zarzucono m.in. znęcanie się nad zwierzęciem poprzez niezapewnienie mu właściwej opieki. Obu prokuratura obciążyła odpowiedzialnością za zaniedbania, które – według śledczych – doprowadziły do śmierci człowieka.

Zwierzę nie zostało więc uznane za sprawcę przestępstwa. Bo pies, nawet gdy zagryzie człowieka, nie ponosi odpowiedzialności karnej. Tyle że w przypadku dzików mazowieccy samorządowcy postanowili tę zasadę odwrócić. To zwierzę ma ponieść konsekwencje zaniedbań ludzi odpowiedzialnych za organizację przestrzeni miejskiej: za źle zabezpieczone śmietniki, wyrzucane resztki jedzenia, pozostawianą na zewnątrz karmę dla psów i kotów oraz zabudowywanie terenów sąsiadujących z lasami. Dziki mają bowiem tę zasadniczą wadę, że nie można im wystawić mandatu.

Problem agresywnych psów wcale nie ogranicza się do pojedynczych tragedii. Policjanci z garnizonu stołecznego interweniują rocznie około tysiąca razy w sprawach nieostrożnego trzymania psów. To średnio prawie trzy interwencje dziennie. W Niestumiu pod Ciechanowem interweniowano w sprawie czterech dużych, agresywnych psów biegających bez nadzoru i kagańców. Właściciel dostał mandat. W Kościanie amstaff wybiegł z posesji i zagryzł yorka prowadzonego przez właściciela na smyczy. I znowu skończyło się na mandacie.

Nie oznacza to oczywiście, że wszystkie psy należy wyłapać i uśmiercić. Agresywne zachowanie konkretnego zwierzęcia nie jest przecież dowodem na to, że cały gatunek stanowi nadzwyczajne zagrożenie dla społeczeństwa. A dokładnie taką logikę zastosowano wobec dzików.

### Ostateczne rozwiązanie

Przewodniczący mazowieckiego sejmiku tłumaczył, że uchwała była konieczna ze względu na szybko rosnącą populację miejskich dzików. Podkreślał, że najważniejsze jest bezpieczeństwo mieszkańców, a obowiązujące przepisy ograniczają możliwość stosowania innych metod redukcji populacji.

Rozsądnie – wszak władza jest od tego, żeby chronić obywateli. Tylko że wypadałoby jeszcze wykazać, przed czym konkretnie ich chroni. Bo przecież czym innym jest zwierzę spacerujące po osiedlu, czym innym dzik ryjący trawnik, czym innym locha broniąca młodych, a czym innym rzeczywisty atak zakończony obrażeniami człowieka. Dla samorządowej statystyki wszystkie te zdarzenia mogą jednak wyglądać podobnie, jeżeli podstawą liczenia będą zgłoszenia mieszkańców.

I tu zaczyna się problem. Obrońcy zwierząt zarzucili samorządowcom, że utożsamiają zgłoszenia mieszkańców z rzeczywistymi atakami zwierząt. Tymczasem nie wiadomo, ile zgłoszonych zdarzeń zostało zweryfikowanych, ile zakończyło się kontaktem fizycznym człowieka ze zwierzęciem, ile spowodowało obrażenia, a ile dotyczyło jedynie subiektywnego poczucia zagrożenia. Nie wiadomo więc, ile było ataków, a ile zwykłych spotkań z dzikami.

Przyrodnicy powołują się na analizy naukowe obejmujące lata 2000–2019,



według których w Polsce nie odnotowano śmiertelnego ataku dzika na człowieka na obszarze miejskim. Pokazuje to, jak trudno znaleźć potwierdzenie tezy, że miejskie dziki stanowią śmiertelne zagrożenie.

W Warszawie w 2025 r. zdarzenia drogowe z udziałem dzików stanowiły około 1,5 proc. wszystkich kolizji. Pozostałe 98,5 proc. kolizji wydarzyło się z innych przyczyn. I jakoś nikt nie zaproponował, żeby z tego powodu przez dwa lata redukować liczbę samochodów za pomocą ich fizycznego niszczenia.

Przyrodnicy wiedzą, że dzik, który codziennie widzi przechodzących obok ludzi i nie jest przez nich niepokojony, może z czasem przestać przed nimi uciekać. Nie dlatego, że postanowił ich zaatakować, ale dlatego, że nauczył się traktować ich obecność jako zwyczajny element otoczenia. W logice mazowieckiej uchwały taka adaptacja stała się okolicznością przemawiającą za uśmierceniem zwierzęcia.

Sejmik nie policzył nawet, ile będzie to kosztowało. Nie wiadomo więc, jaka kasę trzeba zapreliminować na uśmiercenie dzika, transport zwłok i ich utylizację. Wiadomo natomiast, że ktoś będzie musiał za to wszystko zapłacić.

Najbardziej osobliwym elementem całego przedsięwzięcia jest kwestia uśmiercania farmakologicznego. Uchwała dopuszcza rozwiązanie, w którym decyzje dotyczące strzelaniem trucizną powierzane są myśliwym, choć podawanie takich środków należy do kompetencji weterynarzy.

Jest jeszcze kwestia mięsa. Dzik zabity podczas legalnego polowania po przejściu badań może trafić do gara. Natomiast w przypadku preparatów przeznaczonych do eutanazji zwierząt zwłoki nadają się tylko do spalenia. Z punktu widzenia tradycyjnej etyki łowieckiej różnica jest zasadnicza. Zabicie zwierzęcia wyłącznie po to, żeby następnie zutylizować jego ciało, trudno pogodzić z odwiecznym rozumieniem łowiectwa. Dla myśliwego dziki są zwierzyną, której tusza ma wartość użytkową.

**Dla samorządowej administracji stała się odpadem wymagającym kosztownej utylizacji. Najpierw podatnik zapłaci więc za odłów, potem za uśmiercenie, następnie za transport i pozbycie się zwłok, a na koniec za przygotowanie sprawozdania, z którego dowie się, ile dzików już nie żyje.**

Przyrodnicy wskazują, że jedną z głównych przyczyn pojawiania się dzików na warszawskich osiedlach jest łatwy dostęp do pożywienia. I zamiast koncentrować się na odstrzale, należałoby przede wszystkim zabezpieczyć odpady, uszczelnić ogrodzenia, dostosować infrastrukturę drogową i rozsądniej planować przestrzeń miejską. Są to jednak działania mniej widowiskowe niż odstrzał. Ale samorządowcy, obeznani z wierszykiem Brzechwy i obczytani w memach z Facebooka, wiedzą lepiej, co trzeba zrobić, aby doszło do ostatecznego rozwiązania kwestii włochatych świń.

**TOMASZ BOROWIECKI**

# WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Naczelnik drogówki z Gryfina Jarosław Ł. dowiódł, że przepisy ruchu drogowego są dla plebsu, a dla władzy co najwyżej sugestią. Potrącił 72-letniego rowerzystę. Nie pomógł mu i odjechał, by wrócić po godzinie – zapewne, gdy emocje i ewentualne promile zdążyły już opaść do poziomu akceptowalnego przez prokuraturę. Śledczy, wykazując się cyrkową ekwilibrystyką, uznali, że policjant nie „zbiegł", a jedynie się „oddalił", co oznacza, że włos mu z głowy nie spadnie. Alkomat ujrzał go dopiero po 84 minutach. Szef drogówki wciąż posiada prawo jazdy. Prokuratura zapewne uznała, że skoro potrafi tak sprawnie znikać z miejsca wypadku, to jest wybitnym kierowcą.

▮ Gmina Janikowo postanowiła sprawdzić, czy z oparów alkoholu da się wycisnąć odrobinę intelektu dla młodzieży. Zapytali Regionalną Izbę Obrachunkową, czy z pieniędzy od lokalnych alkoholików, czyli z tzw. korkowego, można opłacić lekcje szachów. Izba w Bydgoszczy wykazała się typowo urzędniczą elastycznością i odparła, że owszem, ale pod warunkiem, że nie będą to po prostu szachy. Żeby dzieci mogły legalnie przesuwać pionki za pieniądze z monopolowego, gra musi stać się „narzędziem profilaktyki uzależnień". Goniec nie może po prostu bić wieży. Musi uczyć „radzenia sobie z porażką" i „budowania relacji". To ma rzekomo uchronić małolata przed sięgnięciem po flaszkę w przyszłości. W skrócie: to samo kółko szachowe, ten sam instruktor i te same drewniane figury, ale papier musi być odpowiednio umazany socjologicznym slangiem, żeby zgadzała się rubryka. Szach i mat logicznej niespójności!

▮ Tatrzański Park Narodowy błaga, by nie miziać jeleni, które szwendają się po Zakopanem. Turyści, w swej nieskończonej głupocie, próbują robić sobie selfie z by-



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

dlęciem ważącym 200 kilo, jakby to był pluszowy miś z Krupówek. TPN przypomina, że to dzikie zwierzęta, które mogą kopnąć lub ugryźć. Zostawcie zwierzęta w spokoju! One i tak mają już dość ciężko, gdy muszą codziennie oglądać wasze gęby.

▮ Komendant Główny Policji Marek Boroń w dwa lata dorobił się czterech zegarków, w tym dwóch „prywatnych" za 10 patyków. Choć sam zatwierdził instrukcję, że branie smartwatchów to już niemal korupcja, na jego nadgarstku pyszni się Garmin za cztery koła. Policja darczyńców nie ujawnia, co jest logiczne. Po co psuć anonimowość komuś, kto tak hojnie dba, by szef policji zawsze wiedział, kiedy dokładnie wybija godzina przymknięcia oka? To piękny przykład policyjnej etyki: prawo jest dla krawężników, a prezenty dla góry.

▮ Zielona Góra doczekała się przełomu na miarę lądowania na Księżycu, choć w rzeczywistości to tylko lądowanie urzędników na parterze. Przez lata zmuszano starców i kaleki do uprawiania wysokogórskiej wspinaczki na szóste piętro do Biura Podatków Lokalnych. To zapewne było formą naturalnej selekcji podatników – kto nie dopełzł, ten nie zapłacił. Teraz, po remoncie za 40 tys. zł, lokalna władza podatkowa dostępna jest zaraz za progiem z ulicy.

▮ 92-letni myśliwy z miejscowości Ropa potwierdził, że na naukę nigdy nie jest za późno, a na ostateczne rozwiązanie kwestii spadkowej – nigdy za wcześnie. Jednym strzałem z nielegalnej dubeltówki uciszył 80-letnią siostrę, z którą od lat żarł się o majątek. Prokuratura, zamiast docenić celność weterana, chce go wysłać do psychiatryka, bo biegli orzekli niepoczytalność.

▮ Kompania Piwowarska, dostawca narodowego paliwa pod szyldem Tyskiego czy Lecha, odstawi od piersi 60 pracowników. Oficjalnie: naród trzeźwieje, a osiedlowe budki z piwem bankrutują jedna po drugiej. Prawdziwy powód jest jednak bardziej nowoczesny. W Poznaniu za 230 mln zł wybudowano zautomatyzowany magazyn, w którym roboty uwijają się bez wytchnienia. W ten sposób polski kapitalizm osiągnął swój ideał: produkcja idzie pełną parą, magazyny pękają w szwach, a jedynym problemem pozostaje brak ludzi, którzy mieliby jeszcze za co i z kim się upić. Roboty są świetnymi pracownikami, ale beznadziejnymi menelami.

▮ W Kazimierzu Dolnym kobieta miała rzucać kotem o bruk, podtapiać go w chrzcielnicy i poić nieznanymi substancjami. Zwierzę odebrała jej fundacja i oddała pod opiekę weterynarza. Fundacja szuka świadków i chce zawiadomić policję. Nie wiem po co. To najwyraźniej nie był kot, tylko wcielenie Bafometa. Tu bardziej przydałby się egzorcysta.

▮ Prezydent Inowrocławia Arkadiusz Fajok zamieni podstawówki w zakłady karne o zaostrzonym rygorze. W każdej szkole staną bramki bezpieczeństwa, by wyłapywać terrorystów w krótkich spodenkach. To spektakularny ruch pedagogiczny: od pierwszej klasy przyzwyczajamy bachory, że państwo im nie ufa, a wolność kończy się tam, gdzie zaczyna pikać wykrywacz metali. Brakuje tylko drutu kolczastego na płotach i rewizji osobistej w poszukiwaniu nielegalnych drożdżówek.



eprasa.pl 869a80e13e

## Jak państwu zaczyna brakować wody, najlepiej przekazać problem wójtowi

# Wodolejstwo retencyjne

Polska wysycha na tyle skutecznie, że ponad 96 proc. obszarów rolnych jest już narażonych na suszę rolniczą. 70 proc. zlewni dotyka susza hydrologiczna. Ponad trzy czwarte powierzchni kraju zakwalifikowano do obszarów, na których potrzeba przeciwdziałania suszy jest wysoka albo najwyższa. Latem ponad 600 gmin apelowało do mieszkańców, żeby oszczędzali wodę albo nie zużywali jej na takie fanaberie jak podlewanie ogródków. A w tym roku okresowo wyschło w Polsce aż 800 mniejszych rzek. Takiego zjawiska wcześniej nie notowano.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jeżeli ktoś zatem sądzi, że państwo, dowiedziawszy się, iż problem dotyczy praktycznie całego kraju, wymyśliło ogólnopolski system zarządzania wodą, to nie ma racji. Państwo na razie konsultuje. Do lutego potrwają konsultacje aktualizacji Planu przeciwdziałania skutkom suszy, czyli PPSS. Dokument sam przyznaje, że susza stała się jednym z „kluczowych zagrożeń dla gospodarki wodnej w Polsce", a jej zasięg i intensywność rosną. I proponuje rozwiązanie nader polskie. Skoro problem obejmuje całe państwo, to robotę mają wykonać rolnicy oraz gminy.

### Zlewnia gminna

Logika jest przednia – rzeka może płynąć przez kilkadziesiąt gmin, woda opadowa nie zna granic powiatów, ale według projektu ryzyko suszy będzie wprawdzie analizowane w układzie zlewniowym, za to wykonywanie większości działań przypisuje się gminom.

Autorzy projektu tłumaczą, że dzięki temu zachowana zostaje logika zarządzania wodą w zlewni, a działania można będzie wdrażać w polskich realiach prawnych i organizacyjnych. Tyle że właśnie w tym miejscu zaczyna się problem. W takim modelu część odpowiedzialności przesuwa się ze strategii ministerialnych na niemający kasy samorząd. A problemy wodne konkretnej gminy zależą od całej zlewni, a więc wymagają decyzji regionalnych i krajowych. I mnóstwa pieniędzy.

I tu zaczyna się retencyjna wersja problemu znanego z wielu innych dziedzin. Państwo potrafi stworzyć zadanie, wpisać odpowiedzialny podmiot i przeprowadzić konsultacje. Tyle że od wpisania w dokument, iż gmina ma zatrzymywać wodę, ani litr wody więcej w gminie się nie pojawi.

Wójt może oczywiście namawiać mieszkańców do zbierania deszczówki. Może stawiać beczki pod rynnami. Może sadzić drzewa, robić ogrody deszczowe i pilnować miejscowych planów zagospodarowania. Może nawet wysłać mieszkańcom komunikat, żeby nie napełniali basenów i nie podlewali trawnika wodą z wodociągu. Nie może natomiast zarządzać całą zlewnią rzeki, bo parę kilometrów od jego biura kończy się jego władza.

### Mokradłem w suszę

Jeszcze ciekawiej robi się przy rolnikach. Projekt oznajmia, że „kluczową rolę" mają właśnie oni, bo bezpośrednio kształtują przestrzeń i decydują o gospodarowaniu wodą i glebą. Tyle że działania mają być w dużej części dobrowolne. Rolnicy mają modernizować melioracje tak, żeby rowy nie służyły jedynie szybkiemu wyprowadzaniu wody, lecz również jej zatrzymywaniu. Mają stosować międzyplony, różnicować uprawy i tworzyć zadrzewienia śródpolowe. Gleba ma mieć więcej materii organicznej, być przykryta roślinnością, mniej orana, poddawana płodozmianowi i traktowana mniejszą ilością chemii. Wszystko sensowne, tylko głupie.

Tworzenie zadrzewień śródpolowych oraz tworzenie i odtwarzanie zbiorników śródpolnych i mokradeł przewidziano w zaledwie 0,08 proc. gospodarstw w kraju. Retencjonowanie wody na trwałych użytkach zielonych ma objąć 0,3 proc. ich powierzchni. To wszystko przy 96 proc. obszarów rolnych objętych suszą rolniczą! Można więc powiedzieć, że plan ma rozmach odwrotnie proporcjonalny do problemu. Susza prawie wszędzie, niektóre działania prawie nigdzie.

Eksperci nie kwestionują sensu samego kierunku. Rolnicy rzeczywiście potrzebują retencji zwiększającej ilość wody w glebie i chroniącej plony. Wątpliwość dotyczy skali. Bo nawet najlepszy pomysł wdrożony na promilu powierzchni nie staje się od tego rozwiązaniem ogólnopolskim – będzie dekoracją.

Rządowa koncepcja ma zresztą bardzo wyraźną hierarchię retencyjną. Najpierw natura – lasy, gleby, mokradła, doliny rzeczne, tereny rolne, łąki i pastwiska. Rzeki mają być renaturyzowane, obszary wodno-błotne odtwarzane i chronione, miasta mają gromadzić deszczówkę, stosować przepuszczalne nawierzchnie i wpuszczać więcej zieleni.

Dopiero dalej pojawia się retencja techniczna. Projekt stwierdza, że sztuczna retencja „powinna być traktowana jako uzupełnienie działań zwiększających naturalną retencję". Tyle że natura i beton nie są konkurentami. Zatrzymywanie deszczu w glebie nie wyklucza zbiornika. Mokradło nie likwiduje potrzeby infrastruktury hydrotechnicznej, a zapora nie oznacza, że należy osuszyć torfowiska. Polska ma równocześnie problem z długotrwałym brakiem wody oraz z coraz gwałtowniejszymi opadami. W lipcu Wody Polskie informowały o rozległej suszy hydrologicznej i ostrzeżeniach obejmujących 64 zlewnie, w tym zlewnie Noteci, Warty, Pilicy i Bugu oraz odcinki Wisły i Odry. Jednocześnie ostrzegano przed gwałtownymi wzrostami stanów wód po burzach.

Jeszcze bardziej widowiskowo wyszło to w sierpniu. Lokalnie spadło 102 mm deszczu na Dolnym Śląsku i 95 mm w Wielkopolsce. Wody Polskie informowały wtedy o przekroczeniach stanów ostrzegawczych i jednocześnie o ogromnych wolnych pojemnościach istniejących zbiorników. To pokazuje, że duża retencja nie jest wymysłem hydrotechnicznych betoniarzy sprzed stu lat. Państwo musi mieć zbiorniki do regulowania przepływów, ochrony przeciwpowodziowej i magazynowania wody.

### A jak ekolog powie „nie"?

I robi to, acz w skali mniejszej niż mikro. Zaplanowano wielofunkcyjny zbiornik na Nysie Kłodzkiej. Ma kosztować około 1,307 mld zł, zajmować około 1000 ha i mieścić do 104 mln m sześc. wody. Przy okazji ma powstać mała elektrownia wodna o mocy około 2 MW.

We wrześniu Wody Polskie zakończyły natomiast budowę suchego zbiornika na rzece Budzisz. Kosztował około 58 mln zł i ma chronić ponad 12 tys. mieszkańców Sędziszowa Małopolskiego oraz okolicznych miejscowości.

Na Opolszczyźnie przygotowywana jest dokumentacja zbiorników Mora i Ścinawa Niemodlińska. Wody Polskie uzasadniają te przedsięwzięcia doświadczeniami powodzi z września 2024 r. i potrzebą jednoczesnego zwiększania bezpieczeństwa oraz retencji. Czyli wielkie i średnie obiekty hydrotechniczne nie zostały przez państwo wyklęte. Tym bardziej interesujące jest, dlaczego w najważniejszym planie dotyczącym suszy sztuczna retencja zostaje ustawiona w roli statysty. Z obawy przed protestami ekologów?

Państwo wydaje również pieniądze na wodę w gminach. W sierpniu Ministerstwo Funduszy informowało, że dzięki KPO inwestycje wodociągowe i kanalizacyjne prowadzi ponad 600 gmin. Tyle że wodociąg nie produkuje wody. Może ją uzdatnić i dostarczyć. Rura jest przydatna, dopóki ma co nią płynąć. I dlatego

**bezpieczeństwo wodne nie może sprowadzać się do modernizowania sieci w jednej gminie, stawiania beczki w drugiej, odtwarzania mokradła w trzeciej, zakazywania podlewania ogródka w czwartej i liczenia, że rolnik w piątej dobrowolnie przekopie rów melioracyjny.**

Żadne z tych działań nie zastępuje systemu obejmującego całą zlewnię. A skoro państwo samo pisze, że susza dotyczy niemal całego rolnictwa i przeważającej części Polski, po czym każe rozwiązywać problem wójtom i rolnikom, to deszcz może tego nie docenić, a woda nie dać się przekonać, że ma płynąć zgodnie z granicami administracyjnymi.

**TADEUSZ JASIŃSKI**

---

W gminie Pabianice opłata za śmiecie wzrosła z 35 do 40 zł od osoby. Za brak segregacji przewidziano stawkę karną w wysokości 80 zł. Choć to podwyżka, Pabianice wciąż nie dogoniły Władysławowa, gdzie w 2026 r. mieszkańcy płacą rekordowe 54 zł miesięcznie. Jak widać, wywóz nieczystości staje się sportem dla zamożnych, a Pabianice to przy nadmorskich stawkach zaledwie druga liga.

W Ostrołęce przy ul. Celulozowej 45-letni Krzysztof Z. postanowił ostatecznie zerwać z nałogiem oddychania. Wybrał metodę tradycyjną, powroźniczą, co prokuratura beznamiętnie zakwalifikowała jako samobójstwo. Denat był postacią malowniczą w sposób typowy dla polskich nizin społecznych: świeżo po turnusie w zakładzie karnym, gdzie państwo zapewniało mu wikt i opierunek w nagrodę za to, że w domu traktował rodzinę jak worek treningowy. Jego syn, 19-letni Jakub, tydzień wcześniej udowodnił, że nauki ojca nie poszły w las, choć on sam wolał park i szkołę zawodową. Młody człowiek z zapałem dźgał nożem kogo popadnie w Zespole Szkół Zawodowych nr 4 oraz parku miejskim, wysyłając dziewięć osób na spotkanie z chirurgiem. Krzysztof Z. odszedł więc w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku pedagogicznego.

Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji uznała, że proces ogłupiania narodu wymaga większych nakładów inwestycyjnych. Od 2027 r. za luksus posiadania w domu odbiornika, z którego wylewa się propagandowa breja, zapłacimy 34,50 zł miesięcznie. To ponad 400 zł rocznie za prawo do bycia okłamywanym we własnym salonie.

Władze Konina uspokajają mieszkańców: możecie umierać bez obaw, dla każdego znajdzie się kawałek ziemi. Rocznie ubywa tam około 600 osób, ale ratusz trzyma rękę na pulsie i zapewnia, że nikt nie zostanie na lodzie, a raczej – nad ziemią. Zanim w pierwszej połowie 2028 r. otworzą nowy, luksusowy cmentarz za blisko 23 mln zł, miasto radzi sobie metodami sprawdzonymi: buduje kolumbaria i bez ceregieli odzyskuje groby od tych, którzy zalegają z czynszem za wieczność. Nowa inwestycja samorządowa w przyszłość ma mieć wszystko: kwatery urnowe, salę ekumeniczną i parking na 187 aut, żeby żałobnicy nie musieli biegać z wieńcami zbyt daleko. Koninianie mogą więc spać spokojnie – ich pośmiertny komfort jest w dobrych, urzędniczych rękach.

Polska demografia przypomina wyprzedaż końcówek serii – wszystko musi wyjść, a nowych dostaw brak. W pół roku wyprodukowaliśmy 115 tys. latorośli, podczas gdy kostucha zutylizowała niemal dwa razy tyle. Jeśli to tempo się utrzyma, Putin zamiast czołgów wyśle do nas po prostu ekipę sprzątającą. Za parę dekad ostatni Polak zgasi światło, a Rosjanie wejdą tu nie jako najeźdźcy, lecz jako spadkobiercy największego nieużytku w Europie.

**RJ**

PS Prezentowane tu wieści wyciekły z mediów lokalnych, których poczytalność i rzetelność kończą się zazwyczaj na granicy powiatu. Nie bierzemy za ich treść żadnej odpowiedzialności: ani prawnej, ani rodzicielskiej, a już na pewno nie honorowej. Czytaliście Państwo na własne ryzyko.

---

# Ku słońcu świata nowego*

## Na Podlasiu dnieje

Podlascy działacze KO podsumowali trzy lata rządów. Wyszło im, że Polska rośnie w siłę, drogi się budują, dzieci się rodzą, a jedynym poważnym problemem pozostaje rzeczywistość.

Trzy lata minęły od wyborów, które miały być politycznym przełomem, więc podlascy działacze Koalicji Obywatelskiej wyszli przed mikrofony, żeby udowodnić, że przełom nastąpił. Przynajmniej w prezentacji multimedialnej, której nie pokazano.

Są pieniądze z KPO, jest „babciowe", jest in vitro, są inwestycje kolejowe, remonty dróg, podwyżki dla nauczycieli i obrona cywilna. Krótko mówiąc: gdyby konferencje prasowe można było przeliczać na kilometry asfaltu, Podlasie miałoby już autostradę do każdej obietnicy wyborczej.

Poseł Krzysztof Truskolaski, szef podlaskich struktur KO, z dumą przypomniał o odblokowaniu 240 mld zł z Krajowego Planu Odbudowy. Oczywiście, pieniądze są ważne. Jeszcze ważniejsze jest jednak to, żeby wyborca wiedział, komu ma za nie podziękować. Bo kiedy wyremontują drogę, zasługa jest rządu. Kiedy na drodze urwie się koło, winne są warunki atmosferyczne, poprzednia ekipa albo układ planetarny.

Na liście sukcesów znalazło się również „babciowe", czyli pieniądze na opiekę nad najmłodszymi. Program brzmi pięknie: rodzice mają wsparcie, dzieci opiekę, a babcie mogą wreszcie negocjować stawki za nadgodziny. Polska polityka rodzinna odkryła w ten sposób, że babcia jest nie tylko członkiem rodziny, lecz także elementem infrastruktury społecznej.

Wspomniano też o darmowym in vitro i 18 tys. urodzonych dzięki programowi. To akurat sukces, z którego trudno żartować bez narażenia się na zarzut, że człowiek pomylił satyrę z brakiem serca. Żartować można natomiast z polityków, którzy potrafią nawet najbardziej osobiste ludzkie szczęście zamienić w pozycję w tabeli osiągnięć.

**Jeszcze chwila, a na konferencjach zaczną rozdawać rodzicom certyfikaty z napisem: „Dziecko współfinansowane ze środków publicznych".**

Kolejny punkt programu to Rail Baltica, remonty dworców i przywracanie połączeń kolejowych. Pociągi mają łączyć miasta, regiony i ludzi. Politycy łączą przede wszystkim inwestycje z własnym nazwiskiem. Gdy pociąg ruszy, będzie można przeciąć wstęgę. Gdy się spóźni, pozostanie cierpliwie czekać na kolejny etap sukcesu.

Jest też obrona cywilna. Podlasie otrzymało 333 mln zł, a w perspektywie pięciu lat ma to być niemal miliard. Pieniądze mają pomóc mieszkańcom przygotować się na sytuacje kryzysowe. To dobrze, bo polityka nauczyła obywateli, że kryzys potrafi przyjść nagle, natomiast przygotowanie do niego zwykle trwa do następnej konferencji.

Ale Tuskowi na Podlasiu nie zamierzają popadać w samozachwyt bezkrytycznie. Przyznają, że nie wszystkie obietnice udało się zrealizować. To bardzo odważne wyznanie, porównywalne z deklaracją piekarza, że nie każdy bochenek wyszedł mu idealnie, choć trzy lata temu obiecywał chleb doskonały. Winni opóźnień również zostali wskazani. Koalicjanci nie zaakceptowali wszystkich pomysłów, prezydent wetuje ustawy, a rozliczenia poprzedników idą zbyt wolno.

I tak mijają trzy lata. Rządzący pokazują, co zrobili, czego nie zrobili i co zrobią, jeśli pozwolą im inni. Opozycja zapewne przygotowuje własną konferencję, na której te same trzy lata zostaną przedstawione jako katastrofa o rozmiarach biblijnych.

**JMP**




Rys. OBYWATEL JANEK

* Z „Wolności", piosenki Kultu z lat 80. ubiegłego wieku.



eprasa.pl 869a80e13e

# Schizma (cd.) grojecka

## Co za dużo, to bezprawnie

Dziś wiemy nieco więcej o sprawie grojeckiej, którą opisywaliśmy w 41. numerze „NIE”. Odwołany z funkcji proboszcza ks. Józef Zborek popełnił grzech niewybaczalny: uprawiał nieuczciwą konkurencję.

Bepe Roman Pindel, który musiał uciekać przed parafianami w asyście policji, nie chciał powiedzieć, dlaczego wyrzucił proboszcza. Zasłaniał się dobrami osobistymi ks. Zborka, który sam również nie raczył powiedzieć wiernym, za co dostał wyrok Watykanu. Okazuje się, że ksiądz odprawiał za dużo mszy.

Wydaje się to – jak wiele rzeczy w Kościele – absurdalne, ale obowiązują w tej materii ścisłe limity. Ksiądz może odprawić jedną mszę dziennie, w wyjątkowych sytuacjach dwie. W niedziele dwie, ale kierując się „względami duszpasterskimi” za pozwoleniem biskupa może więcej. Ks. Zborek zaś odprawiał hurtowo. Ludzie go lubili, więc zamawiali u niego msze w swoich intencjach.

Odprawianie dwóch mszy to w języku prawnym Kościoła „binacja”, trzech „trynacja” (a księża się czepiają lewackiej nowomowy). Jako że msza to powtórzenie ofiary Chrystusa na krzyżu, Pan Jezus legalnie może umrzeć tylko raz dziennie z rąk jednego kapłana. Gdy ksiądz chce powtórek, musi konsultować się z kurią. Bo przeważnie, o ile nie zawsze, to multiplikowane msze odprawiane są dla zarobku. Więc jeśli ksiądz chce sobie dorobić, naciągając przepisy, to musi się dzielić z biskupem. Ks. Józef Zborek podobno się nie dzielił.

Krytykiem ustanawiania sztywnych cenników za sakramenty był papież Franciszek. Nieraz rugał kler za to, że kupczą usługami religijnymi, które nie powinny być traktowane biznesowo. Ale papież papieżem, a życie życiem. Tzw. stypendia mszalne to normalne źródło dochodów księży, którzy ustalają konkretne ceny za pomoc w uzyskaniu przychylności niebios. Ks. Zborek msze odprawiał nałogowo – codziennie co najmniej dwie, a w niedziele nawet sześć. Stypendium z jednej mszy dziennie duchowny może zostawić dla siebie, reszta idzie na cele wyznaczone przez biskupa. Proboszcz parafii w Grojcu niezbyt skrupulatnie się do tego stosował: odprawiał, ale nie odpalał działki biskupowi. „W parafii w Grojcu intencje mszalne przyjmowano w liczbie znacznie przekraczającej to, na co pozwala prawo. Przekraczanie dozwolonej liczby Mszy świętych nie było praktyką sporadyczną – lecz stałą. Przeprowadzone postępowanie wyjaśniające wykazało, że Msze święte binowane odprawiano tam każdego dnia tygodnia, w niedzielę zaś kapłan odprawiał nawet po sześć Mszy świętych. Nie były to wyjątki, lecz reguła. Nie dopatrzono się przy tym wyjątkowej potrzeby duszpasterskiej, która mogłaby to uzasadniać” – napisano w komunikacie kurii. Oczywiście teoretycznie z troski o teologiczną poprawność.

Sytuacja ta miała wkurzyć kolegów z innych parafii, którzy czuli się okradani przez praktyki księdza z Grojca. Zborek robił dużo i tanio, miał zatem więcej klientów, a zazdrośnicy cierpieli. Donieśli więc biskupowi, a ten zarządził audyt. Każda parafia ma obowiązek prowadzenia księgi intencji mszalnych, żeby można było rozliczać księży. Józef Zborek dopuścił się przestępstwa na tym tle. „15 grudnia 2023 r., podczas wizytacji przeprowadzonej w związku z podejrzeniem nieprawidłowości dotyczących odprawiania Mszy świętych, ks. Józef Zborek, poproszony o okazanie księgi intencji mszalnych, oświadczył, że »ją spalił«. Zniszczył księgę bieżącego roku, choć rok ten jeszcze trwał, a księga była w użyciu i zawierała także intencje, które nie zostały jeszcze odprawione. Poproszony o przedstawienie ksiąg intencji mszalnych z lat poprzednich – oświadczył, że je również spalił” – napisali kurialiści z diecezji bielsko- żywieckiej.

Sęk w tym, że – jak twierdzą parafianie i on sam – nie brał szmalu dla siebie, a przeznaczał go na konieczne prace w parafii. Ale tylko pieniądze osobiście mu należne. Hajs z mszy dodatkowych szedł niby do kurii. Grojecki proboszcz napisał własne oświadczenie, w którym tłumaczył: „Decyzja Biskupa o pozbawieniu mnie urzędu proboszcza Parafii w Grojcu jest dla mnie niezrozumiała. Nie rozumiem również jej uzasadnienia. Nie wiem jakie korzyści rzekomo czerpałem z Mszy Świętych binowanych i ewentualnie trynowanych. Z uzasadnienia, jakie daje Dykasteria ds. Duchowieństwa wynika, że za moją korzyść należy uznać przekazywanie stypendiów z mszy na rzecz prac, które były wykonywane w Parafii w Grojcu. Tymczasem stypendia z mszy binowanych i trynowanych przekazywałem do Kurii. Mam poczucie, że w moim przypadku w prowadzonym postępowaniu zasada domniemania niewinności została zamieniona na zasadę domniemania popełnienia przestępstwa”… Kuria swoje, ksiądz swoje.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

**Parafianie nie składają broni i dalej bronią swojego księdza, tłumacząc, że jest skromny i pokorny, za to biskup pazerny. Skoro on odwołał im proboszcza, oni chcą odwołać jego.**

W sprawę włączył się wójt gminy Oświęcim, który w rozmowie z „Faktem” zapewnił że „przez lata ksiądz Józef Zborek wynagrodzenie za katechezy w szkole przeznaczał na pomoce dydaktyczne, a uczniom finansował obiady”. Parafianie napisali list otwarty zawierający 11 pytań do biskupa Pindla, domagając się rzetelnych wyjaśnień dotyczących m.in. podstaw prawnych odwołania dokonanego z pominięciem wieloletnich zasług ks. Zborka. Czekają nas kolejne odcinki grojeckiego serialu.

W tej sprawie – oprócz kuriozalnego jej przedmiotu – zadziwia skrupulatność kurii w relacjonowaniu przewin księdza oraz transparentność kościelnych urzędników. W sprawach przestępców seksualnych w sutannach o takiej staranności w wyjaśnianiu można tylko pomarzyć.

**MATT KOBOSKO**

# WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Jak donosi Centrum Monitoringu Chrystianofobii Fidei Defensor, Sąd Okręgowy w Warszawie utrzymał w mocy wyrok wobec aktywistki Katarzyny Augustynek znanej jako Babcia Kasia. Kobieta została prawomocnie uznana za winną znieważenia oraz naruszenia nietykalności cielesnej wolontariuszki ultrakatolickiej Fundacji Życie i Rodzina. Do incydentu doszło przed sejmem w czerwcu 2022 r., gdy w parlamencie odbywało się głosowanie nad ustawą „Legalna aborcja”, a Fundacja Życie i Rodzina organizowała na Wiejskiej antyskrobankowy protest. Babcia Kasia miała wówczas przyklejać na plecy wolontariuszki proaborcyjne naklejki i rzucać wulgaryzmami. Wobec Augustynek zasądzono 500 zł grzywny oraz zwrot kosztów postępowania poszkodowanej wolontariuszce. Pani Kasiu, było warto. Sędzia kalosz!

✚ 6 października w parafii Opieki św. Józefa przy ul. Ołbińskiej we Wrocławiu gościli muzycy kwartetu wokalnego Harpa Dei. Na koncercie był obecny i przemawiał brat Eliasz, założyciel wspólnoty Agnus Dei, do której przynależą członkowie zespołu. Organizatorem wydarzenia było Towarzystwo im. Edyty Stein, a świątynię na koncert udostępnili karmelici. Dzień po imprezie okazało się, że wspólnota Agnus Dei, działająca także pod nazwą Elija Mission, nie została uznana jako wspólnota kościelna w archidiecezji Fryburga. Co więcej, brat Eliasz został skazany za czyny seksualne wobec małoletnich. Warszawska Prowincja Karmelitów Bosych w wydanym komunikacie zaznaczyła, że nie miała pojęcia o wyskokach gościa i zapowiedziała jednocześnie, że Harpa Dei nie będzie więcej gościł w jej świątyniach. 7 października brat Eliasz i członkowie wspólnoty wystąpili w Kościele św. Maurycego we Wrocławiu, także na zaproszenie Towarzystwa im. Edyty Stein. W tym przypadku żadnego oświadczenia nie wydano.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

✚ „Poszli po rozum do głowy” – ucieszył się ks. Janusz Chyła na X, donosząc, że po aktach przemocy w szkołach sieci handlowe w Polsce wycofują ze sprzedaży asortyment na Halloween. Chodzi o kostiumy, maski i narzędzia imitujące niebezpieczne przedmioty, jak np. plastikowe noże czy tasaki. Idąc za (he, he) ciosem, sugerujemy wycofanie ze sklepów z zabawkami zestawów małego majstra z młotkami i gwoździami. Facet z koroną cierniową przybity na krzyżu to zdecydowanie nieodpowiedni wzorzec dla dzieci. Sugerujemy też usunięcie z wypożyczalni kostiumów przebrania klechy, trauma wśród najmłodszych murowana.

✚ U papieża Leona XIV zdiagnozowano nowotwór płuc, mimo że nie palił. To ostateczny dowód dla wierzących na to, że Boga nie ma.

**KLECHA**

# Opatrzność i medycyna

## Papież wycofuje się rakiem

Religie to rak toczący świat, a przywódców religijnych nie omijają śmiertelne choroby nękające zwykłych śmiertelników. Papież Leon XIV ma raka. Albo miał, bo guzek w płucu, który u niego wykryto, został usunięty. Watykan nie podaje szczegółów stanu zdrowia szefa, choć ich polityka informacyjna w ciągu ostatnich dziesięcioleci i tak się znacznie poprawiła. Dawniej nie do pomyślenia było, żeby szczegółowo informować o stanie zdrowia Jego Świątobliwości: żył, żył, aż w końcu „odchodził do domu ojca”.

Papieże chorują i umierają. Oficjalną przyczyną śmierci Piusa XII w 1958 r. była niewydolność serca i układu krążenia po serii udarów mózgu, ale mówiło się też o raku żołądka, ponieważ wiele lat borykał się z problemami tego narządu. Szefom Kościoła dużo leży na żołądku: bezpośredni następca „papieża Hitlera” Jan XXIII umarł w 1963 r. w wyniku zapalenia otrzewnej spowodowanego rakiem żołądka. Problemy z płucami miał z kolei poprzednik Leona, Franciszek, i to one wpędziły go do grobu. Teraz Prevost cierpi na płuca. Widocznie wieloletnie wdychanie kadzidła nie służy organizmowi.

Choroba Leona XIV obala kilka mitów. Przede wszystkim – co nie dla wszystkich oczywiste – papież nie jest nadczłowiekiem i imają się go takie same cholerstwa, co plebsu. Tylko że ojciec święty nie może chorować normalnie. Już zaczęto pisać legendy o nadzwyczajnej zwyczajności Leona XIV, który po operacji sam ustawiał krzesła w kaplicy. Do opowieści o Wojtyle jeszcze trochę brakuje, ale to już poziom podziwu Dziwisza dla papieża Franciszka, który podczas pobytu w Krakowie „sam se skarpetki prał”.

Ciekawe, czy aktualny Dziwisz, czyli ks. Edgard Iván Rimaycuna Inga w razie wu zabezpieczył już solidną ilość materiału na relikwie.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

W kontekście choroby papieża widać też, że nawet najlepsza opieka medyczna nie gwarantuje długowieczności w całkowitym zdrowiu. Co nie oznacza, że należy oszczędzać na opiece zdrowotnej, bo i tak przecież wszyscy umrzemy, skoro nawet papieże umierają. Po trzecie wreszcie: zdrowy tryb życia może pomóc, ale nie musi. Amerykanin na papieskim tronie słynie z tego, że jest fit: ćwiczy na siłowni, gra w tenisa, jeździ konno i ogólnie nie zaniedbuje ciała, które jest świątynią ducha. Dodatkowo stara się nie przemęczać i podkreśla wartość wypoczynku: w każdy poniedziałek wieczorem wyjeżdża do letniej rezydencji w Castel Gandolfo, skąd wraca we wtorek wieczorem. Wtorek poświęca właśnie tym zabiegom, które mają pomóc w utrzymaniu dobrego zdrowia na lata. A raczysko i tak się przyplątało.

Co bardziej złośliwi dostrzegają niespójność między zdaniem się na wolę bożą a luksusowym korzystaniem z najnowszych zdobyczy medycyny. Obcykani teologowie zacytują z kolei św. Tomasza z Akwinu, że łaska buduje na naturze i nie ma żadnej sprzeczności między wiarą w opatrzność i leczeniem w poliklinice Gemelli.

Papież papieżem, ale mieliśmy ostatnio bardziej makabryczny przypadek, który prowokuje do komentarzy: w Ekwadorze wielki krzyż spadł na księdza podczas mszy i go zabił. Wszystko leciało na żywo w internecie, bo msza była transmitowana online.

Ks. Daniel Wachowiak wyprzedził ciosy: „Za parę chwil smutny, choć viralowy film pojawi się w polskim internecie.

**Tragedia, jaka wydarzyła się w czasie nabożeństwa. Źle przymocowany krzyż odpadł ze ściany i uderzył w kapłana. Skutkiem jest śmierć duchownego. Piszę o tym z wyprzedzeniem, gdyż zapewne znów wyleje się polski katolikofobiczny, obrzydliwy jazgot.**

Będą to robić ci, którzy zazwyczaj lekceważą Boga i nie przejmują się Jego potęgą, ale widząc krucyfiks spadający na człowieka, zadadzą prześmiewcze pytanie o Opatrzność Bożą. Zatem – krzyż nie uchronił nawet Syna Bożego. Nie wyznajemy magii, ale jako używający rozumu przyjmujemy panujące zasady fizyki. Bóg ich nie zawiesza, nawet jeśli człowiek zawinił w nieodpowiednim przymocowaniu świętego krzyża”.

Nie był taki wyszczekany, gdy jego kolega po fachu – bp Jan Sobiło – komentował wypadek polskich pielgrzymów na Węgrzech, w którym zginęło 12 osób. Wracający z Medjugorje według biskupa mieli w sumie farta, bo „ich dusze były wybielone i wypieszczone modlitwą Matki Przenajświętszej, i może w ich życiu już nic lepszego by się nie wydarzyło, a może mogłoby być tylko gorzej i dlatego Maryja zabrała te dusze, które doświadczyły tak wielkiej łaski w Medjugorje”… Moglibyśmy w tym momencie życzyć biskupom i księżom wielu łask, ale życzymy zdrowia.

**ŁUKASZ PIOTROWICZ**



eprasa.pl 869a80e13e

# Mocni przy stole, słabi na boisku

## W PZPN afera. Jak to zwykle w piłce bywa: chodzi o wódę, władzę i zdradę.

Na początku września w Katowicach rozpoczynały się mistrzostwa świata kobiet do lat 20. Do Polski przyjechał nawet szef FIFA Gianni Infantino. Z tej okazji w hotelu Courtyard Katowice City Center zorganizowano uroczystą kolację z udziałem działaczy. Według relacji, które usłyszał portal Weszło, w trakcie bankietu dwóch działaczy odprowadzało do pokoju prezesa PZPN Cezarego Kuleszę, który miał być mocno zmęczony napojami.

Jednym z opiekunów był Bartosz Ryt, prezes Małopolskiego Związku Piłki Nożnej. Drugim Łukasz Wachowski, sekretarz generalny PZPN, najbliższy współpracownik Kuleszy, człowiek odpowiedzialny za sprawne funkcjonowanie federacji.

W pewnym momencie Ryt zorientował się, że Wachowski zamiast pomagać szefowi, nagrywa ich telefonem. Zażądał dostępu do urządzenia, odnalazł film i go usunął. Następnego dnia opowiedział o wszystkim prezesowi. Sytuacja wydawał się jasna: nielojalny Wachowski zbierał haki na szefa.

Wachowski początkowo przyznawał się do nagrywania, tłumacząc, że sam przesadził z alkoholem i właściwie nie wie, co mu strzeliło do głowy. Ale dla Kuleszy przygotował inną wersję: celem nagrania nie był Kulesza, ale właśnie Ryt, uważany za przedstawiciela związkowej opozycji. To na niego miał zbierać haki Wachowski.

Kulesza ponoć w to uwierzył. Trudno powiedzieć, czy bardziej wzruszająca jest jego wiara w lojalność zastępcy, czy przekonanie, że najlepszym sposobem skompromitowania opozycyjnego działacza będzie sfilmowanie go podczas pomagania pijanemu prezesowi.

Ryt potwierdził dziennikarzom prawdziwość relacji. Wachowski w pisemnym i mocno zagmatwanym oświadczeniu zaprzeczył, by film w ogóle powstał. Poinformował również, że wszyscy uczestnicy spotkania pozostają w bardzo dobrych, wręcz przyjacielskich relacjach, więc sprawy nie ma.

Szkoda, że nie poszedł dalej. Mógł ogłosić, że koledzy nie odprowadzali prezesa do pokoju, lecz przeprowadzali ćwiczenia z ratownictwa medycznego. Telefon służył do dokumentowania szkolenia, a Ryt usunął film ze względu na ochronę danych osobowych pacjenta.

W odpowiedzi na film, którego nie było, 11 członków zarządu PZPN miało poprzeć wotum nieufności wobec Wachowskiego. Na posiedzeniu zarządu nie doszło jednak do głosowania nad jego odwołaniem i sekretarz zachował stanowisko.

Tak właśnie wygląda stabilność instytucjonalna. W PZPN można stracić zaufanie większości kolegów, ale stanowiska już niekoniecznie. Prezes Kulesza obronił Wachowskiego. Prawdziwych przyjaciół poznaje się na bankiecie.

### Narodowa strategia wysokoprocentowa

Zaledwie kilka tygodni po katowickim spotkaniu PZPN ogłosił, że pracuje nad Strategią Dyplomacji Sportowej, która ma wzmocnić międzynarodową pozycję polskiego futbolu. Spotkanie odbyło się na Stadionie Narodowym, a gospodarzem była Rada Ekspertów ds. Dyplomacji Sportowej, w niej między innymi Dariusz Mioduski (prezes Legii, pisaliśmy o nim w numerze 17–18/2026). W konsultacjach uczestniczył także wiceminister spraw zagranicznych Marcin Bosacki. Mówiono o budowaniu relacji, obecności Polaków w strukturach FIFA i UEFA, promocji kraju oraz skuteczniejszym oddziaływaniu na zagranicznych partnerów.

To ambitne plany, choć można mieć wątpliwości, czy eksperci nie próbują wyważać otwartych drzwi. PZPN od lat prowadzi skuteczną dyplomację, której podstawowe narzędzia są znane i sprawdzone: wódka, zagryzka, wspólne śpiewanie oraz wzajemne się podpierdalanie.

Wystarczy więc zaktualizować nazwę projektu na „Strategię Dyplomacji Sportowo-Alkoholowej PZPN 2026–2032” i wykorzystać bogate doświadczenia. W dziedzinie dyplomacji i negocjacji polski futbol ma znakomitego lidera.

Cezary Kulesza poznał polski kapitalizm w najbardziej romantycznym okresie, kiedy pieniądze zarabiało się na bazarach i dyskotekach.

Prezes PZPN pochodzi z Podlasia. Sam grał w piłkę, ale karierę zrobił w biznesie. W latach 90. prowadził dyskoteki, a założona przez niego wytwórnia Green Star stała się jedną z potęg rynku disco polo, współpracując z takimi zespołami jak Akcent Zenka Martyniuka czy Boys.

Jego biznesowe imperium obejmowało między innymi dyskotekę Scorpio w niewielkiej miejscowości Wnory-Wiechy. Z czasem doszły nieruchomości, hotele i inwestycje deweloperskie. Następnie Jagiellonia Białystok, której prezesem został w 2010 r., aż wreszcie fotel szefa całego polskiego futbolu.

To historia sukcesu, którą można by przedstawiać studentom zarządzania. Pod warunkiem że na wykładzie nie zabraknie miejsca na kulisy podlaskiego show-biznesu lat 90.

Marcin Kącki w książce „Białystok. Biała siła, czarna pamięć” opisywał rzeczywistość, w której biznes dyskotekowy, muzyka disco polo i lokalny półświatek potrafiły funkcjonować bardzo blisko siebie. Sam Kulesza został przedstawiony jako bezwzględny przedsiębiorca, który dzięki twardym kontraktom z artystami budował swoje wpływy. Według opisu Kąckiego umowy Green Star dawały wytwórni bardzo szeroką kontrolę nad twórczością, nazwami zespołów i organizacją ich występów.

Można jednak zrozumieć, dlaczego doświadczenie w organizowaniu dyskotek okazało się przydatne przy kierowaniu polską piłką. W jednym i drugim biznesie trzeba umieć się dogadać z różnymi ludźmi i przekonać publiczność, by zapłaciła przed występem. W obu przypadkach klienci często wychodzą rozczarowani.

### Powrót do korzeni

Tradycje alkoholowe polskiej federacji są znacznie starsze niż prezesura Kuleszy.

W czasach Grzegorza Laty i Zdzisława Kręciny polska piłka wypracowała w tej dziedzinie własne standardy. Związek był kojarzony z aferami korupcyjnymi, działaczami z innej epoki i sposobem zarządzania przypominającym miks późnego PRL-u z wczesnym kapitalizmem.

Symbolem tamtych czasów został Kręcina, wieloletni sekretarz generalny PZPN, który w sierpniu 2011 r. musiał opuścić samolot lecący z Wrocławia do Warszawy. Według świadków był pijany, zachowywał się głośno, przeklinał i obrażał związkowych kolegów. Sam przedstawiał zdarzenie inaczej, tłumacząc je zmęczeniem. Do historii przeszło określenie „drobny element chrapania”.

Kilka miesięcy później Kręcina stracił stanowisko, ale w związku z aferą dotyczącą ujawnionych nagrań rozmów o pieniądzach związanych z budową siedziby PZPN.

W 2012 r. prezesem został Zbigniew Boniek, który próbował zmienić wizerunek federacji i wprowadził do niej nowych ludzi. PZPN zaczął wyglądać jak nowocześniejsza organizacja sportowa, a nie koło emerytowanych działaczy spotykające się przy wódce i musztardzie. Symbolicznie można powiedzieć, że Boniek próbował zamienić związkową wódkę na włoskie wino. Zamiast rubasznej swojskości pojawiła się międzynarodowa elegancja, marketing, sponsorzy i profesjonalna komunikacja.




Ilustr. PAWEŁ FERENC

Niestety, elegancja ma swoje ograniczenia. Po ośmiu latach środowisko i działacze mieli Bońka dość. W 2021 r. prezesem został Kulesza, który pokonał faworyta Bońka: byłego piłkarza Marka Koźmińskiego. Tradycja mogła odetchnąć z ulgą.

Pierwsza kadencja nowego prezesa obfitowała w wydarzenia wzięte z podręcznika zarządzania kryzysowego jako przykłady sytuacji, których należy unikać.

W 2022 r. wybuchła afera premiowa. Przed mundialem w Katarze premier Morawiecki podczas niezręcznej rozmowy z piłkarzami w stołówce obiecał im wielomilionowe nagrody za awans z grupy. Po sukcesie rozpętała się awantura o podział pieniędzy. Morawiecki tłumaczył później, że chodziło o pieniądze na szkolenie młodzieży, a nie premie dla piłkarzy milionerów. Morawiecki umiał oszukać nawet naszych kopaczy.

### Wódka u szejka

Jeszcze ciekawsza była historia zaopatrzenia działaczy podczas turnieju. Gospodarze mundialu, z racji miejscowych przepisów i obyczajów, narzucili daleko idące ograniczenia dotyczące alkoholu. Dla zwykłego kibica jadącego do Kataru stanowiło to niedogodność. Dla polskiej federacji – wyzwanie logistyczno-dyplomatyczne.

W grudniu 2023 r. portal Meczyki opisał operację wysłania do Kataru alkoholu oraz polskich kabanosów. PZPN wykorzystał współpracę z polską ambasadą, która pomogła przewieźć paczki żywieniowe jako produkty promujące nasz kraj w ramach programu „Polska smakuje dobrze”.

Pomysł na promocję Polski miał rozmach. Inne kraje promują nowoczesne technologie, kulturę, gospodarkę i turystykę. My zorganizowaliśmy międzynarodową misję transportową, aby skutecznie dostarczyć na Półwysep Arabski wódkę i kabanosy. Czy ktoś jeszcze ma wątpliwości, że polscy działacze potrafią prowadzić dyplomację gospodarczą?

Prawdziwym egzaminem z dyplomacji była jednak wyprawa do Mołdawii w czerwcu 2023 r.

Reprezentacja Polski pojechała do Kiszyniowa na mecz eliminacji mistrzostw Europy. Razem z piłkarzami i działaczami podróżował Mirosław Stasiak, były właściciel klubów piłkarskich, prawomocnie skazany w aferze korupcyjnej związanej z ustawianiem meczów. Stasiak był objęty zakazem działalności w strukturach PZPN.

Jego obecność w delegacji wywołała skandal. PZPN wyjaśniał początkowo, że Stasiak został zaproszony przez jednego ze sponsorów, lecz sponsorzy zaprzeczali.

Następnie do mediów trafiły zdjęcia oraz nagranie z kolacji w Kiszyniowie. Widać było Stasiaka bawiącego się wśród gości PZPN, między innymi w towarzystwie piosenkarza Wojciecha Gąssowskiego. Stasiak wcielił się w wodzireja, intonując charakterystyczny motyw muzyczny z serialu „Kariera Nikodema Dyzmy”.

To już nie była zwykła kolacja. To był spektakl o polskich elitach, w którym aktorzy sami dobrali sobie muzykę.

Na boisku reprezentacja przegrała z Mołdawią 2:3. W dyplomacji kolacyjnej sukces był jednak znacznie większy: wszyscy mogli się spotkać, porozmawiać i wspólnie pośpiewać.

**Jeszcze we wrześniu 2023 r. Kulesza tłumaczył w RMF FM, że przy okazji wyjazdów reprezentacji organizowane są kolacje, na których dostępny jest alkohol. Zapytał trzeźwo, jak można sobie wyobrazić kolację o godzinie 19 bez wina czy wódki. Zastrzegał przy tym, że nikt nie jest zmuszany do picia.**

W 2025 r. dziennikarze Gońca opisali kolejne alkoholowe imprezy ludzi polskiej piłki. Na jednej z imprez Kulesza miał wspólnie z politykami PiS, w tym z Łukaszem Mejzą, śpiewać „Barkę” – ulubioną pieśń papieża Jana Pawła. Kulesza zaprzeczał, ale redakcja opublikowała nagranie wspólnego śpiewania.

PZPN zdecydowanie i wzruszająco bronił pięknej idei czystego sportu. Związek chciał sądowo potwierdzić, że dziennikarze napisali nieprawdę i wódka nie odgrywa w piłce nożnej kluczowej roli. Nieskutecznie. W grudniu 2025 r. sąd pierwszej instancji oddalił powództwo.

### Cztery filary dyplomacji

Wszystkie te doświadczenia można wreszcie wykorzystać do stworzenia nowoczesnej Strategii Dyplomacji Sportowo-Alkoholowej. Proponuję, żeby PZPN nie tracił pieniędzy na kolejne zagraniczne ekspertyzy, tylko oparł dokument na własnym dorobku.

Pierwszym filarem powinno być budowanie relacji międzynarodowych poprzez dyplomację stołu. Każdy oficjalny mecz reprezentacji należy poprzedzić uroczystą kolacją, a skuteczność spotkania mierzyć liczbą działaczy, którzy następnego dnia nadal pamiętają, co ustalono.

Drugi filar to dyplomacja transportowa oparta na doświadczeniach z Kataru. Najlepiej stworzyć specjalne stanowisko pełnomocnika ds. zaopatrzenia zagranicznych misji. Człowiek musiałby znać języki obce, przepisy celne oraz różnicę między Żubrówką a whisky.

Trzeci filar to cyberbezpieczeństwo. Afera katowicka pokazała, jak wielkie znaczenie ma właściwe zarządzanie wrażliwymi materiałami. Każdy działacz uczestniczący w oficjalnym bankiecie powinien więc zostać przeszkolony z bezpiecznej obsługi telefonu. Szczególnie ważne jest, żeby nie nagrywać kompromitujących sytuacji bez wyraźnej zgody osoby odpowiedzialnej za ich późniejsze usunięcie.

Czwarty filar powinien dotyczyć zarządzania kryzysowego i komunikacji. Kiedy wydarzy się coś kompromitującego, należy najpierw poinformować, że nic się nie wydarzyło. Jeżeli pojawią się świadkowie, podkreślić, że wszyscy są przyjaciółmi. A jeśli pojawi się nagranie, ogłosić, że zostało wyrwane z kontekstu i już jest usunięte.

### Piłka przeszkadza w grze

Problemem w całej tej koncepcji nadal pozostaje reprezentacja Polski, która uparcie próbuje grać w piłkę nożną.

W tym roku nasi piłkarze pod wodzą trenera Jana Urbana zdążyli przegrać ze Szwecją baraż o awans na mistrzostwa świata. We wrześniu w Lidze Narodów Szwedzi znowu okazali się lepsi, a potem przyszła porażka z Bośnią i Hercegowiną. Po czterech kolejkach (meczów, nie wódki) Polska zajmuje przedostanie miejsce w swojej grupie dywizji B.

I oto wróciliśmy do lat 90. W PZPN leje się wóda, reprezentacja gra słabo, Urban wkurwia Polaków.

**LEON ORŁOWSKI**

NIE

**SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY**
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

**WYDAWCA:** „URMA” Sp. z o.o.

**ADRES redakcji i wydawcy:**
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

**DZIAŁ HANDLOWY:** 22 849 59 38

**INTERNET**
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
**E-MAIL:** NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

**DRUK:**
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

**Sprzedaż elektroniczna:**
**www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl**

Numer zamknięto:
**str. 1–16 – 21.10.2026 r.**

**„NIE” w komórce**
**Papier się gniecie. Telefon nie.**



eprasa.pl 869a80e13e

## SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Jak się czuje Piotr Wu? – Pytanie zawisło w niezbyt świeżym powietrzu wypełniającym gabinet prezesa Kaczyńskiego.

– Dobrze – odpowiedział Sasin.

– Jak bohater – dodał Błaszczak.

– Jotpeerdeel – skrzywił się eurodeputowany Bocheński. Tobiasz Bocheński. – Co za różnica?

Pytanie było retoryczne jak oksymoron o inteligencji posła Goska.

– No tak – wymamrotał prezes. Miał słabość do Bocheńskiego. Żałował, że na premiera nie wybrał jego, tylko Czarnka. – A jak tam reduta przed siedzibą trybunału?

Sasin: – Trzymamy się.

Błaszczak: – Nie dajemy się.

Bocheński: – Jotpeerdeel. Przecież to cyrk.

Kaczyński zaczerpnął powietrza do płuc i powoli je wypuścił. Miał słabość do Bocheńskiego, ale w żadnym razie nie miał zamiaru pozwolić mu na sianie defetyzmu.

– Trzeba zewrzeć szeregi, zjednoczyć się, napiąć mięśnie – zamruczał prezes. – Ta zima zdecyduje o naszej przyszłości.

Sasin kaszlnął znacząco. Błaszczak odkaszlnął, bo flegma zalegała mu w gardle. Bocheński rzekł:

– Coś się panu prezesowi pomyliło. Zima zdecyduje o sytuacji na wojnie w Ukrainie.

– No tak, no tak, o sytuacji na wojnie też…

Sasin nie znosił gogusia Bocheńskiego. Błaszczak też miałby go za mydłka, gdyby znał znaczenie tego rzeczownika. Obydwaj spoglądali na eurodeputowanego, który roztaczał światowy zapach Szanela.

– Bleu de Chanel – sprostował Bocheński, który najwidoczniej umiał czytać w myślach.

– No, czas na spacer! – zawołał zdezorientowany Sasin.

– Byłem już dziś na spacerze – zaoponował Kaczyński.

– Był pan, panie prezesie, ale wczoraj. – Ton Bocheńskiego był kpiąco-szyderczy. – Dzisiaj też jest dzień. Najwyższy czas na spacerek. Koledzy, pomóżcie się panu prezesowi ubrać. Tylko o szaliku nie zapomnijcie. Jotpeerdeel!

Zanim Kaczyński pozwolił założyć sobie na grzbiet jesionkę, pochylił głowę ku eurodeputowanemu.

– Słuchaj, Tobiaszku – wyszeptał świszczącym głosem – co to jest to jotpeerdeel?

– Ja pierdolę, panie prezesie – uprzejmie odpowiedział Bocheński.

**PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI**

# Dialogi dam, z których obie żyją



**JOANNA SENYSZYN** jedzie do Zielonej Góry prowadzić kampanię wyborczą. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** do niej dołączy, jak tylko zamknie podwójny numer.

**Wołk-Łaniewska: – Niech żyje!**
Senyszyn: – Kto znowu?

**– A tak do końca to nie wiem. Sejm może? No bo raczej nie Czarzasty…**

– Wtorkowe głosowania i powrót do tzw. kompromisu aborcyjnego czy raczej antyaborcyjnego to ochłap rzucony kobietom ze strachu przed ich słusznym gniewem. Tak cię to cieszy?

**– No jak tak na to spojrzeć, to rzeczywiście nie ma czego świętować. Ale z drugiej strony – wreszcie coś przegłosowali. Choć niektórzy mnie zniesmaczyli…**

– Tu akurat się zgodzę. Giertych na przykład: nie brał udziału w głosowaniach. Wszystkich, ale chodziło o te aborcyjne. Unik to jego stała postawa. Ciekawe, jaka będzie reakcja Tuska. Trzy lata temu wyrzucał z list tych, którzy opowiadali się przeciw prawu do aborcji, a Giertych solennie obiecał podporządkowanie się dyscyplinie klubowej w tzw. głosowaniach światopoglądowych. Jednak 12 kwietnia 2024 r. nie przyszedł na głosowanie nad liberalizacją prawa aborcyjnego, tłumacząc swoją absencję ważnymi przyczynami osobistymi. Nie poniósł konsekwencji i teraz zrobił ten sam numer.

**– Akurat Giertych budzi we mnie tak daleko idące obrzydzenie, że na niesmak już nie mam miejsca. Ale Hołownia. Ten niby postępowy katol, co to szlocha nad konstytucją, bo tak go wzrusza demokracja liberalna, ale matkę, co załatwi nastoletniej córce mifepriston, to by jednak do pierdla wsadził…**

– Hołownia chce jechać na ambasadora do Watykanu, a Kosiniak-Kamysz ciągle zabiega o świętą ciotkę. Więc obydwaj się nie wychylają.

**– A mimo to wygraliśmy.**

– Do czasu. Nawrocki to zawetuje jak amen w pacierzu.

**– Zgoda: praktycznego znaczenia to głosowanie nie ma ni cholery, ale jakąś radość jednak mi sprawiło. Ja jestem za każdą dekryminalizacją, bo nie uważam, że wsadzanie ludzi za kraty jest rozwiązaniem jakichkolwiek problemów społecznych. Zniesienie karalności pomocy przy aborcji to ważny sygnał, choćby dla prokuratorów. Widzę, że nie podzielasz mojego entuzjazmu…**

– To głosowanie jest o prawie trzy lata spóźnione i zostało wymuszone przez systematyczną utratę wyborców ze względu na nierealizowanie obietnic wyborczych. Koalicja wygrała dzięki głosom kobiet, a potem je olała.

**– Olała wszystkich wyborców – i tych, którzy walczyli o odpolitycznienie TK, i tych, którzy oglądali „Zieloną granicę" i mówili, że tak dalej być nie może, i tych, którzy byli oburzeni rasistowskim szczuciem na imigrantów… To czemu akurat kobiety miała potraktować jakoś wyjątkowo?**

– Może dlatego, że kobiet powinni się bać. Jutro będę uczestniczyć w ogólnopolskim proteście, który odbędzie się o 18.00 w 20 miastach w Polsce pod hasłem „Czerwona kartka za aborcję!".

**– To znaczy wczoraj?**

– Słucham?

**– Rozmawiamy w środę, więc czwartek jest jutro. Ale Czytelnicy przeczytają nas w piątek i wtedy czwartek będzie wczoraj… My jeszcze nie wiemy, co się wydarzy, ale Państwo już będą wiedzieli.**

– Mamy nadzieję, że będzie głośno i gorąco. Pamiętam protesty przed sześciu laty. Wtedy było jedno hasło, które nas zjednoczyło przeciwko PiS-owi, TK i instytucjonalnej przemocy wobec kobiet – bo zakaz aborcji to forma państwowej przemocy. Krzyczeliśmy „wypierdalać" i Koalicja 15 października przestraszyła się powtórki…

**– Profesor zwyczajna Joanna Senyszyn krzyczała „wypierdalać" na ulicy? Chciałabym to zobaczyć…**

– Wielu widziało. Nawet taki plakat ze swoim zdjęciem umieściłam w mediach społecznościowych.

**– Może teraz też się gniew poniesie i będzie jak w Paryżu!**

– No bez przesady, do zamieszek nie zachęcamy.

**– Za zamieszki w Paryżu odpowiada policja, a finalnie rząd.**

– Odważna teza.

**– Ależ oczywiście, że tak. Macron ma 15 proc. poparcia, notowania najniższe w historii, gorsze nawet od Tuska…**

– To prawda. Według sondaży 54 proc. Francuzów martwi się kosztami życia, 44 – groźbą likwidacji państwa opiekuńczego, 33 – zadłużeniem kraju.

**– A ten kretyn bawi się w Churchilla i chce budować gospodarkę wojenną. Więc jak 800 tys. ludzi, głównie bardzo młodych, wychodzi na ulicę…**

– Francuskie MSW mówiło, że 500 tys.

**– A choćby nawet. Jak pół miliona ludzi wychodzi w proteście przeciwko tobie na ulicę, to bardzo dobrze jest pokazać, że to złodzieje i chuligani. Gdyby policja pilnowała sklepów przed szabrownikami zamiast gazować orkiestrę…**



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Masz na myśli L'Orchestre du Nouveau Monde? Dla tych z Państwa, którzy nie śledzili zadymy w Paryżu: Orkiestra Nowego Świata to wielka orkiestra symfoniczna, złożona z młodych muzyków, zawodowych i amatorów…

**– Ta akurat była naprawdę wielka. Zaprosili przez socjale wszystkich, którzy chcieli z nimi zagrać, i na Plac Republiki zeszło się 400 osób.**

– Widziałam. Fascynujący repertuar: „Marsylianka", „Międzynarodówka", „Bella ciao" oraz uwertura z „Gwiezdnych wojen".

**– Siedzieli i grali, naprawdę nic innego nie robili, generalnie jak masz w rękach skrzypce albo wiolonczelę, to raczej nie szarżujesz na policjantów, a te skurwysyny ostrzelali ich granatami z gazem łzawiącym. Co prawda Étienne Jarrier, który wymyślił orkiestrę i został jej dyrygentem w wieku lat 18, mówił parę lat temu w „Liberation", że „szukał nowych metod walki i muzyka się sam narzuciła" – ale nie miał na myśli napierdalanki z psami, tylko walkę o lepszy świat. Choć czasem to to samo…**

– Widzę, że paryska zadyma wzbudziła twój zachwyt…

**– A nawet zazdrość. Étienne, jak miał 14 lat, dyskutował z rodzicami o walce klas. A co robią nasze 14-latki? Szlochają w Bieszczadach.**

– Chyba znowu o czymś nie wiem…

**– Straszne oburzenie było, nawet nie pamiętam, czy w TVN24, czy w Polsat News: że „przewodnicy podczas górskiej wędrówki usłyszeli przeraźliwy szloch i krzyk dziecka", albowiem matka uznała, że „zdobycie szczytu było ważniejsze niż bezpieczeństwo jej dzieci", więc kazała gówniarzom poczekać chwilę, bo marudzili. I „zostawiła ich na rozwidleniu szlaków, i tam chłopcy zostali zauważeni przez przewodników, czy może najpierw przewodnicy usłyszeli szlochanie tych chłopców, płacz tych**



**dzieci"… Co to za niewydarzone pokolenie jest, jak rany, że 14-letni gówniarz nie potrafi się przez kwadrans ośmioletnim bratem zająć, tylko obydwaj wyją?**

– No i dlatego ludzie nie chcą mieć dzieci: jak słyszą, że nastolatków trzeba niańczyć jak niemowlęta…

**– I na koniec: jaki jest twój stosunek do niezwykle kontrowersyjnego tematu pod tytułem zmiana czasu?**

– Jestem przeciw. Niczego nie daje ekonomicznie, a jest kosztowną operacją, która szkodzi naszemu zdrowiu, bo zaburza funkcjonowanie zegara biologicznego.

**– A ja jestem do zmiany czasu bardzo przywiązana i bardzo mnie martwi, że chcą mi to zabrać. Bo ja kocham jesień, więc w ogóle mi nie przeszkadza, że następuje ta zmiana, która sygnalizuje, że jesień jest już na serio… A zimy za to nie kocham, więc fakt, że się definitywnie kończy i nadchodzi wiosna, też jest dobrą wiadomością. Nawet jak to oznacza spanie krócej. Zwłaszcza że ja i tak śpię w sposób bardzo nieuporządkowany.**

– Bo ty masz rozregulowany zegar biologiczny. Ale lud regularnie pracujący, który tak rzekomo kochasz, odczuwa zmianę negatywnie. Badania naukowe pokazują większe ryzyko śmiertelnych wypadków samochodowych podczas nocy ze zmianą czasu oraz wzrost liczby wypadków w pracy i zawałów serca bezpośrednio po zmianie czasu z zimowego na letni.

**– O ile większe? Bo może warto podjąć ryzyko…**

– 6 proc. więcej wypadków, 10 do nawet 24 proc. więcej zawałów.

**– No to raczej sporo. Ale ponieważ na nic nie mam wpływu, to będę sobie lubić zmianę czasu i już.**

– A lubże.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

## DĄBROWSKI RYSUJE




Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 869a80e13e